ROCZNIK VII.
TOM II.

NR. 84.
GRUDZIEŃ.
1911.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ
DRA FELIKSA KONECZNEGO.

KRAKÓW
REDAKCYA: XIII. SALWATOR.
ADMINISTRACYA ULICA CZYSTA L. 1.

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5. arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M. 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres** redakcyi **Kraków, XIII. Salwator**

Administracya: ul. Czysta L. 1.

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki.** Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 84-go:

(grudzień 1911 r.) Str

DALMACYA PRZED STU LATY W OŚWIETLENIU PODRÓŻNIKA POLAKA.

Podróżujemy dość wiele, niekiedy nawet więcej niż wymaga potrzeba, a podróżujemy przeważnie bez przygotowania i myśli o tem, jaką z tej podróży wydobyć korzyść.

Nie mam tu na myśli par młodych, które spieszą do Wenecyi i gołąbków na placu św. Marka; ci, co najwyżej zaczepią o Tryest i spieszą pod niebo włoskie, ale znam ludzi poważnych, szukających w podróży odpoczynku i wytchnienia, i mających wszelkie dane do poznania głębszego tych krajów, które przebiegają. Od takich słyszałem poważnie wygłoszone zdanie, że Dalmacyę zamieszkuje ludność włoska, że nawet tzw. Kanalezi pod Raguzą to Włosi, i że cała żegluga na Adryatyku pozostaje w rękach Włochów, a częściowo i Madiarów...

Takie opinie słyszy się dzisiaj na początku w. XX., a przecież już schyłek w. XVIII. i początek w. XIX. widział u nas ludzi, którzy inaczej patrzyli na Dalmacyę i liczyli ją do krajów „słowiańskich“. Był nim Aleksander książę Sapieha, „członek kilku Akademiów i Towarzystw uczonych“, który z poświęceniem życia i wielkich ofiar pieniężnych podróżował w latach 1802. i 1803., a w roku 1811. wydał te „Podróże w krajach sławiańskich“ w formie listów do przyjaciela w jednym tomie; przyrzekał „w późniejszych listach“ dalsze opisanie, ale to się nie pojawiło i nie wiadomo, czy pozostało w rękopiśmie. Tymczasem, że owa książka poszła w zapomnienie, uważamy za osobliwy obowiązek przypomnieć ją powszechności polskiej, choćby dopiero teraz w setną rocznicę jej wydania.

I.

Jaki był cel podróży ks. Sapiehy? Znajdujemy to dokładnie wyszczególnione we wstępie.

„Oddając Publiczności — mówi autor — podróż moją w kraju sławiańskim [1]) odprawianą, nie mam innego celu, jak tylko udzielić rodakom niektórych uwag, które im obojętne być nie mogą. Wiele razy bowiem Sławianom o Polakach wspominałem, uważałem, że z uczuciem wspominają o nas, jak o braciach, dawno oddzielonych i daleko zaszłych... Wiedziałem, że w momencie skończenia tego cienia życia, które nam powstanie Kościuszki nadało, odezwę zrobiono do narodów słowiańskich, oznajmując im, że sławne jedno z ich pokoleń padło ofiarą obcej przemocy. Chciałem zobaczyć, czy to zrobiło na nich jakie wrażenie, a razem poznać pobratymców, jeszcze przez żadnego Polaka nie zwiedzanych: podróże l' Abbégo Fortys'a zaostrzały też jeszcze moją ciekawość. Z tych więc powodów przedsięwziąłem tę podróż, którą pomyślniej, jak sądziłem, ukończyłem".

I stwierdzając raz jeszcze, że oprócz naukowej ciekawości wiódł go do Dalmacyi i pewien rys polityczny, pisze dalej: „Tymczasem związki z narodami sławiańskiemi obojętnymi być nie mogą dobremu Polakowi, jak rodzina nigdy obcą prawemu synowi. Prócz jednostajności rodu mamy jeszcze teraz w spólności opieki Wielkiego Napoleona nowe prócz rodności ogniwo. Najdalsze Rzyma osady od wieków choć w obcej zaszczepiono ziemi, czuły się wdzięcznie być niegdyś tego sławnego rodu latoroślą i plemieniem. Nieśmy oddalonym braciom naszym skutek postępu naszego i nieszczęść, cywilizacyą, a w zamian odbierzem starodawnych naszych obyczajów odświeżenie i cnót rodnych zakłady. Poniesiem im wzory poświęcenia się wskrzesicielowi wspólnemu, a skarby nieprzebrane ojczystemu językowi i narodowemu oświeceniu pożyszczem. Tam tylu zwyczajów naszych zagubionych przyczynę, tylu wyrazów wartość i słów pierwiastki znajdziem. Tam etymologia polska powinna wziąść swój wzrost i początek. A tak pod jednym dobroczynnym oddychając puklerzem, w cieniu laurów wielkiego Bohatyra, węzeł rodności i zagubionego pobratymstwa na zawsze odświeżym, i Polak w wojarskich swych znużony ubiegach, pijąc wodę z Cettyny, ojczyste Wisły mile przypomni sobie nadbrzeże". (str. 10. i 11.).

[1]) Zachowujemy sposób pisania autora „sławiański" ponieważ jest konsekwentny i wspólny czasom, w których żył. Zmieniamy również jego pisownię, ale stylu często twardego i niepoprawnego nie tykamy.

Wątpimy, czy wielu było wówczas Polaków, patrzących tak zdrowo i trzeźwo na nasz do innych Słowian stosunek i na nasze względem nich obowiązki; wątpimy, czy dzisiaj wszyscy Polacy, udając się na południe, tak jasno stawiają sobie przed oczy cel podróży, i czy go z taką konsekwencyą osiągają, jak nasz autor.

II.

Z Tryestu, skąd podróż rozpocząć postanowił, ks. Sapieha zwiedził groty w Lipicy i kopalnie rtęci w Idryi, poczem wynajętym żaglowcem, trzymając się brzegów Istryi zwiedził Rowiń (Rovigno), wyspy Bryońskie (które on zowie „Brioli"), Pulj (Pola) i wpłynął na Kwarner dążąc do Rjeki (Fiume). Tu spędził tydzień i nająwszy bat (bacik) z nowymi towarzyszami płynął brzegiem chorwackim. Zwiedził Bakar (Buccari), Kraljewicę (Portoré) poczem płynąc zachodnim brzegiem wyspy Krku (Veglia), przybić musiał dla wiatru przeciwnego do niezamieszkanego portu i pozostał na wyspie przez dni trzy; korzystając z tego poznał ją dosyć dobrze, zwłaszcza że znowu musiał się zatrzymać w Baszce (Besca nuova) i tak razem na niej dziewięć dni przepędził. Puściwszy się brzegiem lądu dopłynął do Senia (Seń — dziś Zengg w pisowni madiarskiej), a stąd zwiedził wyspę Rab (Arbe), którą dość szczegółowo opisał. Z Rabu przez Pag, gdzie się w Starej Nowalii zatrzymał, przybył po różnych przygodach powrotnych do Zadru (Zara), Biogradu (Zara vecchia), zwiedził jezioro Vrana i doznawszy skutków gwałtownej burzy z trudem dobił do Szybenika (Sebenico), czyli jak on zowie do Szybina. Następnie łodzią dostał się do Szkradina (Scardona), a stamtąd do wodospadów Krki, do klasztoru Visovac, do Knina i źródeł Krki. Nabawiwszy się febry na bagnach tamtejszych z trudem przebył góry i dostał się do doliny Cetyny. Tu zatrzymały ciekawego wędrowca liczne groty i ruiny starożytne. Przez Vrlikę, klasztor Dragowicz, Siń, zwiedziwszy ruiny starożytnego Gardunum, Imoski, przez wieś Otocz, wśród wielkich niebezpieczeństw i przygód przebrany za Turka przeszedł granicę i znalazł się na kraju Bośnii, poczem przez Duwno i wieś Złotą (?), już w Hercegowinie, doliną Neretwy dotarł do Mostaru. Tu z natury rzeczy zatrzymał się dłużej; a widząc, ile trudności napotyka na każdym kroku w tym kraju tureckim, zwrócił się przez Stolac do doliny Popowej, stamtąd minąwszy Trebinje, zdążał forsownie ku Ombli, Grużu (Gra-

vosa) i stanął nareszcie szczęśliwie w Dubrowniku (Ragusa) wyczerpany i znowu nawiedzony febrą. „A lubo przyszło było ostrzeżenie, że mam przyjechać do Raguzy, jednak stracili już byli nadzieję mię widzieć, uważając spóźnienie mego przybycia“, pisze w zakończeniu tego tomu; czy zaraz potem puścił się do Kotoru, Czarnej Góry, Albanii, o których wspomina w przedmowie, nie wiadomo.

III.

Na kraje, przez które podróżował, patrzył ks. Sapieha przeważnie okiem geologa, którym zdaje się był wskutek studyów przyrodniczych; dowodów na to wiele, a przedewszystkiem opis gór „Wratnik“ (str. 57.), opis Dolinian (str. 236.), a częściowo i wodospadu „Czerne Wryło“ (Crno vrelo). Oprócz tego spotykamy liczne uwagi przyrodnicze (np. na str. 27.) i spostrzeżenia ogólne, które cechuje trafność i logiczność. I tak mówiąc o Rowiniu (Rovigno) uważa brak wód źródlanych za największy niedostatek wszystkich miast istryjskich, naturalnie na wybrzeżu zachodniem, bo wschodniego nie opisuje. Również słuszna jest uwaga, że Rjeka (Fiume) „ze wszystkich stron otwarta, w rzeczy samej portem nazwana być nie może i jest bardzo miałka. Miałczyzna tego portu coraz więcej się pomnaża, tak przez wiatry południowe, które go zasypują, jak też przez deszcze, które opłukując postronne góry, codziennie go zawalają“. Tylko wytężonej chęci Madiarów posiadania portu nad Adryatykiem (wszak to *magyar tenger* — morze madiarskie!) i milionom zatopionym w licznych wałach z kamieni i pogłębianiu portu zawdzięcza Rjeka swój dzisiejszy rozwój, którego Sapieha nie przewidział. O ile naturalne warunki czynią z Bakru (Buccari) port pierwszorzędny, o tyle podług słusznej uwagi ks. Sapiehy, z gór od wschodu spadająca *bora* (wiatr północno-wschodni) nie tylko czyni przystęp do portu trudny, ale samo stanowisko okrętów niebezpiecznem. Nie zmieniły się też stosunki w Seniu: „trudno znaleźć miejsca, któreby uporniej na północno-wschodowy wiatr było wystawione; nigdy tam atmosfera nie jest w spokojności i nigdy okręty w przystani seniańskiej stojące nie mogą pochlebiać sobie, że znajdą tam bezpieczne schronienie“. Wyspa Krk (Veglio) „byłaby nierównie więcej uprawiana i żyzna, gdyby nie północno-wschodowy wiatr, który tak na niej, jak na wszystkich innych w morzu Adryatyckiem leżących, wygubia

rośliny“. Wyspa Rab (Arbe) „jest bardzo żyzną, i co do składu swego i tworzenia od innych na pobrzeżu dalmackiem leżących różną. Mało bowiem w niej znajduje się skał wapiennych i te na piaszczystej wznoszą się podstawie... Powietrze tam jest łagodne, przynajmniej jak rośliny śladują (wskazują). Widziałem bowiem na dachach i murach miasta kapary dziko rosnące..., agave americana, pospolicie aloes zwana, rośnie koło miasta dziko, także cactus opuntia na murach gdzieniegdzie się zarywa. Lasy są napełnione dębem, Quercus Ilex zwanymi, jasionami, lentyskami, rhusami i pierwsze to jest miejsce, gdzie andrachne okryte owocem widziałem“.

Gdy wyjechał z Szybenika (Sebenico) ku wodospadom Krki uderzył go słusznie kontrast między otaczającemi to miasto wzgórzami skalistemi i kamienistemi, a bujną roślinnością około Skradynu (Scardona): „szczodra natura wystawia dzielnością swoją ożywioną krainę, a oko zmordowane widokiem ciągłego niepłodnych skał pasma, tu odpoczywa i w zachwycenie wpada“. Nie potrzeba dodawać, że wodospady Krki (Skradyński slap) wprawiły autora w zachwyt i że ich opis (na str. 88—91.) jest dowodem subtelnego odczuwania przez autora piękności przyrody.

Oprócz na piękności zwraca autor baczne oko na starożytności, zachowane w ruinach miast i zamków, w jaskiniach i grotach, a częściowo i w muzeach prywatnych. W Pulji (Pola) naprzykład, nad której upadkiem szczerze się smuci, a jeszcze więcej nad niezdrową „atmosferą“, miasto otaczającą, opisuje cytadelę, „skleconą z okruchów dawnych budowli rzymskich“, daje dość szczegółowy obraz cyrku, zachowanego wcale dobrze i wspomina o świątyniach rzymskich przerobionych na kościoły. W Skradynie interesuje go wielce „dawny Rzymian cmentarz“ (prawdopodobnie cmentarz chrześcijański), na którym marmurowy grobowiec jeden szczególniej jego uwagę przykuł. W drodze do Kninu zatrzymują go gruzy miasta starożytnego, Burnum zwanego, zwiedza jaskinie przy źródłach Cetyny, szukając śladów pierwotnych mieszkańców, bada rozwaliny starożytnego Gardunum i zapuszcza się w hipotezy i wnioski starożytnicze (str. 181—187.). Rzecz naturalna, że staremu mostowi rzymskiemu w Mostarze poświęca szczegółowy opis i podaje jego wymiary. W końcu poświęca obszerną uwagę muzeum Dra Danielego w Zadrze, które zawierało wiele posągów, wielką ilość inskrypcyj i dawnych numizmatów zbiór niepospolity.

Tym sposobem obrazy przyrody i kraju, przeplatane uwagami przyrodniczemi i badaniami starożytniczo-kulturalnemi, stają się naprawdę interesujące, i dają świadectwo o niezwykłem wykształceniu autora, i zamiłowaniu w dociekaniach przyrodniczych.

IV.

O wiele ciekawsze jeszcze są obrazy ludu i opisy różnych jego właściwości, zabarwione niezwykłą do tej ludności sympatyą.

Pomijając błędną wiadomość o Czarnogórcach, osiadłych w pobliżu Pulji (Poli) „którzy od półtora sta lat dla swego do Wenetów przywiązania, kraj własny opuścić musieli; zachowali jednak swoje zwyczaje, ubiór i religię, i mimo jednostajności (- tożsamości) języka rzadko się z Istryjczykami powinowacą“ (str. 36) — sprostować musimy na wstępie błędne, a przez autora ciągle używane nazwy o Chorwatach: Sławaczyzna, Sławacy lub Słowaki, o ich języku: „sławacki“ (w licznych miejscach w całej książce). Jestto błąd pochodzący z nieumiejętności autora utworzenia z rzeczownika Słowianin przymiotnika słowiański, nadto nieznajomość plemion słowiańskich, między którymi Słowacy osobne zajmują miejsce i z Chorwatami nie mogą być identyfikowani. Nie ulega przecież wątpliwości, że wszędzie, gdzie tych nazw używa, ma autor na myśli Chorwatów, bo i tej nazwy używa pisząc ją przez *h*, jak to czynią Chorwaci. Nie potrzeba dodawać, że i Morlaki lub Morlachy nie co innego oznaczają, jak ludność chorwacką nabrzeżną.

Otóż naród chorwacki w ogólności ma w autorze szczerego i oddanego przyjaciela. Wspominając (na str. 40) ród Frankopanich (autor pisze: Frangipanich), głośny w dziejach chorwackich, wskazuje na zamek w Bakrze, jako na gniazdo ich rodu. „Tu się poczynały wielkie posady i rozległe włości tego możnego domu, którego szczątki warte lepszego losu: tułackie długo prowadząc życie od nikogo nieznani i od wszystkich opuszczeni w Rzymie osiedli. Przyjechałem w kilka dni po sprzedaniu na licytacyi dawnej zbrojowni tego domu. Znajdowała się tam także karacena po nieszczęśliwym Frangipani, którą jak starożytność chciałem nabyć, lecz uprzedzony byłem, że i taż przed dwoma dniami wywiezioną została“. Każde wspomnienie historyczne, czy z czasów samodzielności Chorwacyi, czy walki Uskoków z Wenetami lub

hajduków z Turkami, podsuwa pod pióro autora uwagi sympatyczne o rycerskości i dzielności narodu chorwackiego.

W charakterystyce ludu wysuwa na plan pierwszy niezwykłą gościnność. Pierwszy raz daje temu wyraz dokładny w opisie ludności na wyspie K r k u (Veglia), gdzie oprócz gościnności chwali słodycz charakteru i zamiłowanie pokoju; mieszkańcy ci bowiem nie dają rekruta i nie mogą pojąć wojny, w której każą krew bratnią przelewać. W Baszce doznał tak niezwykłego przyjęcia, że mu się wyrwał wykrzyknik: „O Velio! Czemu całym nie jesteś światem, albo raczej czemu świat nie jest tobie podobny. Przyjmcie szczęśliwi mieszkańcy w tem oddaniu wam sprawiedliwości dowody uczuciów, któremi przejęty byłem na waszej wyspie i bodajby żaden wędrownik, nadużywając waszej gościnności, nie sprowadził do was zmiany obyczajów, a zatem i szczęścia“. (str. 52.) U S e n i a n chwali zamiłowanie do śpiewu i muzyki, w której się dopatrzył znamion polskich, u P a g a n gościnność i tę rzadką uprzejmość, „jakiej mało na świecie znaleźć można śladów“, u M o r l a k ó w w ogóle rycerskość i zamiłowanie w kolorze czerwonym i granatowym, co mu Krakowiaków przypomina.

W obecności autora lud chętnie śpiewał — i bawił się po swojemu, znajdując w gościu niezwykłego adoratora i podróżnika. W B a s z c e „ledwo oświadczyłem chęć miania pieśni krajowych, dum, natychmiast mnóstwo kobiet i mężczyzn ubiegało się na wyścigi, żeby dogodzić ciekawości mojej. Ja słowa wypisywałem, — mówi autor — doskonały artysta Włoch, w usługach moich będący, muzykę notował“. Szkoda niepowetowana, że ani słów, ani melodyj ks. Sapieha nie ogłosił drukiem; mielibyśmy niewątpliwie skarb językowy i muzyczny z tych czasów, kiedy jeszcze nie tylko na Krku, ale nawet u nas o takim sposobie gromadzenia pieśni ludowych nie myślano.

Z pomiędzy właściwości ludu chorwackiego uderzyło autora urządzenie domowe. „Budynki morlackie — mówi na str. 123. — nie mają kominów, ani pieców, ogień się pali na środku, dym idzie prosto w górę i ucieka szczeliną w dachu zrobioną. Familia cała na ziemi siedzi około ogniska, wyjąwszy starego ojca lub jaką poważną osobę, którzy siedzą na stołeczkach nizkich drewnianych, podobnych do naszych szewskich, tylko niższych“.

Nic dziwnego, że takie prymitywne stosunki panowały na początku w. XIX.; dziś jeszcze w Dalmacyi nawet we wsiach, niezbyt od miast odległych, można ujrzeć to samo, bo kultura

tam nieznacznie postąpiła, a ubóstwo ludności może się jeszcze wzmogło.

Ale w tej chacie, podobnej raczej do szatry cygańskiej, niż do domu mieszkalnego, panowały wzorowe i prawdziwie patryarchalne stosunki. Kiedy mu przyszło nocować niedaleko od źródeł rzeki Krki i zasiadł do wieczerzy, gospodarz z niezwykłą skromnością przedstawił mu żonę i córkę, a podczas wieczerzy synowa gospodarza trzymała płonące łuczywo, aby rozjaśnić chatę. Nic ją nakłonić do tego nie mogło, aby usiadła i dzieliła biesiadę. Rozległy się potem śpiewy o królewiczu Marku i urozmaicały gościnę, której autor zapomnieć nie mógł.

Strój ludowy szczególniej zajmował naszego podróżnika. Już przy wypływaniu z Pulja (Pola) zwrócił jego uwagę ubiór mniemanych Czarnogórców, a zwłaszcza ich obuwie (opanki); na wyspie Krku dziwi się jednostajności ubioru czarnego, jakby powszechnej żałoby; „powszechne jest mniemanie — mówi — że po śmierci Frangipaniego kolor ten dla oznaki smutku przyjęli“. Rzecz szczególna, że piszący te słowa, przed laty kilkunastu pierwszy raz będąc na wybrzeżu chorwackiem w Kraljewicy (Portore), usłyszał to samo objaśnienie owego dotąd trwającego osobliwego zwyczaju.

Opisując strój Sinian (Sinj — na północny wschód od Splitu) zauważył autor pewne podobieństwo między nim a dawnym strojem polskim, opisanym przez Stryjkowskiego; szczególnie uwydatnia zamiłowanie do koloru niebieskiego i karmazynowego. Również kobiety w Werliku zwróciły uwagę autora niezwykłem bogactwem różnych świecideł, zawieszonych na sobie, przyczem wymknęła się autorowi charakterystyczna uwaga porównawcza, że „w dawnych naszych ojców rotmistrzowskich rzędach więcej nie masz trzęsideł, nad te, które zdobią całą osobę dziewczyny werlickiej“. Ten sposób przeładowywania ubioru mnóstwem „trzęsideł“ cechuje po dziś dzień kobiety z Werliku.

Z pomiędzy osobliwych obyczajów wymienia niezwykły sposób łowienia węgorzy w jeziorze Vrani e, który polega na tem, że kilku rybaków wchodzi do wody i kiedy jedni wodę mącą, drudzy uderzając sznurami po powierzchni wody, zabijają wypływające do wierzchu węgorze. Oprócz tego opisuje młócenie zboża w Hercegowinie z pomocą koni, które trzymane na długiej lince przez jednego, a poganiane biczem przez drugiego, biegają po rozłożonych snopach tak długo, aż ziarno wyłuszczą. Słusznie

gani autor ten sposób niszczenia ziarna i słomy, ale widocznie zwyczaj to stary i bardzo zakorzeniony, skoro go dotąd nietylko w Hercegowinie, ale i w Bośnii powszechnie używają.

Zastanawiające są uwagi, jakie ks. Sapieha pomieszcza (na str. 162—167) o handlu dalmackim. Konstatując, że Dalmacya produkuje mało prócz wina i oliwy, których nie wywozi dalej, jak do Bośnii, stwierdza z ubolewaniem, że natomiast wszelkie potrzeby artykułów żywności, a nawet odzienia i uzbrojenia bierze z Bośnii, czyli od Turków. Handel tranzytowy do Bośnii lub z niej nie podnosi ekonomicznie Dalmacyi i raczej ją zuboża. Potem dodaje autor niezmiernie cenne uwagi: „Kto tylko posiadać będzie Dalmacyę, cień sam panowania nad tym krajem zatrzyma, póki nie będzie panem Bossyni i Hercegowiny, i że chcąc z tego kraju mieć jakikolwiek zysk nie stratę, całkiem się uzyskaniu tych dwóch prowincyj poświęcić powinien... Dalmacya i Kataro będą zawsze ciężarem dla narodu, który je posiadać będzie, skoro Bossynia i Hercegowina nie będą do niego należeć, a tem więcej jeszcze, jeżeli nie będzie panem morza“.

Czy te uwagi polityczno-ekonomiczne straciły obecnie swoje znaczenie? Czy ma obecnie Dalmacya łatwą i rozgałęzioną komunikacyę z Bośnią, Hercegowiną i Chorwacyą? A czy kraj ekonomicznie zaniedbany nie to samo po stu latach sprawia wrażenie, jakie sprawiał na autorze omawianej książki? Sto lat bez postępu!...

V.

Dwie właściwości ks. Sapiehy obniżają bardzo wartość książki, pod wielu względami naprawdę cennej. Pierwsza: to styl i język bardzo zaniedbany, a pochodzący stąd, że dzieło napisane po francusku później na język polski przekładał i nie dosyć na jego poprawność uważał. Druga: to mania etymologizowania bez podstawnych do tego wiadomości, a choćby tylko znajomości języka chorwackiego. Oto np. Istrya to u niego to samo co Ostrya od przymiotnika ostry, gdzie *o* podobnie jak w małoruskiem wymawia się jak *i!* (kôń — konia czytaj kiń). Stąd zaszedł autor do etymologii Dniestru, który rozłożywszy na Dno istre czyli Dno ostre, progami najeżone, łatwo doszedł do celu błędnego (str. 44). Podobnie poplątał pochodzenie i znaczenie hajduka (z arab. haydud?) z ukraińskimi hajdamakami, a nawet włożył w usta Chorwata (str. 207) słowa

małoruskie: „T a j grad Lubomir z i s t r o i ł“. Na podobieństwo Istryi i Dniestru wywodzi nazwę M o s t a r u od m o s t s t a r y, chociaż to rzecz znana, że M o s t a r znaczy „gród nad mostem“, (m o s t + przyrostek a r).

Te i inne drobiazgi — powtarzamy — obniżają wartość formalną dzieła, ale nie ubliżają wielostronności naukowej autora, a najmniej osłabiają interes, z jakim się i dziś czyta te podróże po mało znanych, a tak ciekawych i sympatycznych „sławiańskich krajach“.

Roman Zawiliński.

ZE STATYSTYKI SŁOWACKIEJ.

Ostatnim spisem ludności na Węgrzech (1910.) zajął się naukowo Dr. E m i l S t o d o l a i podał w kilku zeszytach *Slovenskych Pohladów* wyniki nadzwyczaj ciekawe. Niektóre są niespodziane, przeciwne powszechnie dotychczas przyjętym pojęciom; tem bardziej tedy wypada zaznajomić się z tym przedmiotem.

Obszar Słowaczyzny, wynosi 33.207 km^2., liczba ludności 2,069.424, tak, że gęstość zaludnienia wynosi 62·3 na 1 km^2. t. j. nieco więcej, niż wypada średnio na Węgrzech.

Całe Węgry liczą na 324.851 km^2. mieszkańców 19,254.559; mają tedy gęstość zaludnienia 59·3. O ile chodzi o porównanie poszczególnych narodowości na Węgrzech, kraje z większością madiarską cieszą się wyższą gęstością zaludnienia (20 komitatów o powierzchni 82.127 km^2, z 5,723.114 ludności). Ale i tutaj gęstość podnosi (69 na 1 km^2) tylko to, że i stolica kraju, Budapeszt, leży na obszarze madiarskim. Bez Budapesztu gęstość zaludnienia komitatów madiarskich wynosi tylko 60; mniej więc, niż na Słowaczyźnie. Jeszcze rzadziej zaludnioną jest Chorwacya i Slawonia (56·8) i kraje rumuńskie (12 komitatów obszaru 57.455 km^2, z ludnością 2,691.153), gdzie na 1 km^2 przypada tylko 47 dusz.

Co się tyczy osadnictwa Słowaków, już na 818 dusz przypada jedna gmina (wszystkich gmin na Słowaczyźnie jest 2.563); gdy tymczasem przeciętnie jedna gmina przypada na Węgrzech na 1.327 mieszkańców; w krajach madiarskich dopiero na 2.360, a wśród Rumunów na 1.070; tylko w Chorwacyi i Slawonii 308 dusz stanowi gminę. Do tego zastosowuje się także i wiel-

kość obszaru gmin. Na Słowaczyźnie 41·5% całej ludności zamieszkuje gminy liczące niżej 1.000 mieszkańców; 23·8% gminy liczące 1.001—2.000; 9·3% w gminach o 2.000—3.000 i 25·4% w gminach, mających ponad 3.000 mieszkańców. Innym jest stosunek przeciętny węgierski: 25% całej ludności mieszka w gminach o mniej, niż 1.000 duszach; 22% w gminach do 2.000 mieszkańców; 23% w gminach, liczących do 3.000 i 30% w gminach, liczących ponad 3.000 człowieka. Na Słowaczyźnie przeważają więc gminy małe. Do tego kraje słowackie nie posiadają przyrodzonego środowiska, któreby było kulturalnie i ekonomicznie dość silnem, by stać się ostoją całego życia narodowego Słowaków — co ma znaczenie także na rodowe i polityczne.

Obok rozmieszczenia i gęstości ludności posiada także wielkie znaczenie jej skład, czy to co do płci, czy też co do klas wieku. Wśród Słowaków — jedynych na Węgrzech — jest więcej kobiet, aniżeli mężczyzn: na 1.000 mężczyzn przypada 1.077 kobiet. W jednym tylko komitacie preszburskim przeważają mężczyźni (995 kobiet na 1.000 mężczyzn).

W komitatach madiarskich (984 na 1.000), rumuńskich (984) i w Chorwacyi i Slawonii (998 na 1.000) jest mniej kobiet niż mężczyzn. Na Słowaczyźnie powody przewagi kobiet nad mężczyznami leżą w emigracyi, a nie, jak na zachodzie Europy, w przyczynach naturalnych (różnica śmiertelności obu płci.). Dlatego ten stosunek na Słowaczyźnie nie jest wcale świadectwem dodatniem.

Również przedewszystkiem emigracya powoduje, że skład według wieku jest różnym od innych narodowości. W komitatach słowackich jest nieco więcej dzieci (do 15. lat), niż wypada ze statystyki przeciętnej całych Węgier (37·1% wobec 35·6%), lub w porównaniu z Madiarami (36·3%), z Rumunami (34%), tudzież z Chorwacyą i Slawonią (36·1% dzieci do lat 15). Osób dojrzałych, w wieku produktywnym, znalazł spis ludności na Słowaczyźnie 54·9%, na terytoryum madiarskiem 56%, w Chorwacyi i Slawonii 56·6%, a w komitatach rumuńskich 57%.

Zjawisko to nie mówi ani o większej płodności Słowaków, ani o większym ubytku ludności przez śmiertelność. Przyczyna leży znowu przedewszystkiem w wychodźctwie. Bo gdyby płodność Słowaków przewyższała płodność Madiarów tak, jak się powszechnie sądzi, wtedyby właśnie dzięki silnej emigracyi dorosłych do Ameryki, — procent dzieci na Słowaczyźnie musiał

nie o jeden, ale o wiele więcej procentów przewyższać ilość dzieci madiarskich. Ostatecznie, biorąc rzecz ze strony gospodarczej, jest dla Słowaków ów stosunkowo mniejszy procent ludzi dojrzałych, będących w pełni sił roboczych, objawem nieprzychylnym.

Także niekorzystnie dla Słowaków przedstawia się procent osób dotkniętych kalectwem cielesnem, czy też umysłowem. Ślepych mają 9·4 na 10.000 ludzi; podczas gdy węgierski stosunek przeciętny wynosi 10·1‰; w komitatach madiarskich 10·2, w rumuńskich 9·6, a w Chorwacyi i Slawonii 9·8‰. W tym względzie są więc stosunki na Węgrzech wśród wszystkich narodowości niemal zupełnie jednakie, wśród Słowaków nawet najlepsze. Za to niespodzianką jest w komitatach słowackich znaczna ilość głuchoniemych: 17·4 na 10.000 mieszkańców, (przeciętnie na Węgrzech 13·2‰; w krainach madiarskich 11·9, w chorwacko-slawońskich 13·7, a w rumuńskich 14·8‰); ilość zaś obłąkanych i głupkowatych: 30·3‰ (przeciętnie na Węgrzech 24·4; w żupaniach madiarskich 24·1, chorwacko-slawońskich 24·4, w rumuńskich 25).

W obu wypadkach podpadają pod uwagę przedewszystkiem niektóre komitaty słowackie, jak n. p. orawski, gdzie na 10.000 dusz jest 45 głuchoniemych, a głupkowatych 44. Liczba ta jest rzeczywiście bardzo poważną. Dlatego Dr. S t o d o l a słusznie zwraca się do lekarzy słowackich z wezwaniem, ażeby zechcieli zwrócić uwagę na to zjawisko i starali się dojść jego przyczyn.

Co do stosunków rodzinnych, na Słowaczyźnie kawalerów jest 54·6% całej ludności (procent przeciętny węgierski 53·6%); żonatych i zamężnych 39% (procent przeciętny z całych Węgier 40·2%); owdowiałych 6·4% przeciętnie na Węgrzech 6·1%); rozwiedzionych 0·04% (procent przeciętny węgierski 0·1%). Tak więc w państwie węgierskiem, według obliczeń procentu przeciętnego, jest 2½ razy więcej rozwodów niż na Słowaczyźnie, co świadczy o większej czystości obyczajów, a także o większym konserwatyźmie Słowaków.

Na Węgrzech liczba małżeństw zmniejsza się stale ze wzrostem życiowych potrzeb ludności. Ślubów na Węgrzech w latach 1865—1868. na 1000 mieszkańców było 10·3; w latach 1891 do 1900 było już tylko 8·8‰. Obecnie na Rumunów przypada ślubów 9·8 na 1000 ludności, u Serbów i Chorwatów 9‰, u Madiarów i Słowaków 8·8‰, a u Niemców 8·7‰. Najwięcej ślubów

było wśród ludności rolniczej i górniczej (171·7 i 179·5 na 1000 mężczyzn liczących ponad 20 lat wieku). Co do liczby urodzin, Węgry dotychczas stoją na pierwszem miejscu wśród państw europejskich (40·5$^{0}/_{00}$); większą ilość urodzin wykazuje tylko Serbia (41·6$^{0}/_{00}$) i Rosya (47·1$^{0}/_{00}$). Tem dziwniejszym jest więc fakt, że we wszystkich państwach europejskich, prócz Francyi, małżeństwa są płodniejsze niż na Węgrzech. Na tysiąc kobiet zamężnych na Węgrzech przypada urodzin 218, we Włoszech 238, w Norwegii 241, w Austryi 253, w Niemczech 258, w Hollandyi 279. Ale i na Węgrzech liczba urodzin zmniejsza się stale. W r. 1851. było na Węgrzech urodzin 44·6$^{0}/_{00}$, w latach 1881—1890 było jeszcze 44·2, ale już w roku 1900. tylko 39·4$^{0}/_{00}$; liczba zmniejszała się w dalszym ciągu: w r. 1901. zeszła na 37·8, a w r. 1903. na 36·7$^{0}/_{00}$.

O ile chodzi o płodność poszczególnych narodów na Węgrzech, to u Chorwatów na 1000 kobiet przypada urodzin 173·3, wśród Słowaków 172·5, u Serbów 166·8, u Madiarów 155·9, u Rumunów 151·8, a wśród Niemców 141·9; promille przeciętne węgierskie wynosi 156·2. W tym względzie więc stanowisko Słowaków jest wcale dobrem, tem bardziej, że i statystyka śmiertelności przedstawia się dla nich korzystnie. A jednak już i w niektórych komitatach słowackich zaczyna się szerzyć system dwóch dzieci. Przez to płodność małżeństw faktycznie jest o wiele niższą, niż to wykazuje statystyka przeciętna, która podaje liczbę na 216·7. (W Hontie tylko 168!).

Ciekawą jest równorzędność między płodnością, a wyznaniową przynależnością ludności. Najpłodniejszymi są grecko-katolicy (170·7 dzieci na 1000 kobiet) i rzymsko-katolicy (162·3$^{0}/_{00}$) najmniej ewangelicy augsburskiego (143·8$^{0}/_{00}$) i helweckiego wyznania (145·5$^{0}/_{00}$) i prawosławni (151·8$^{0}/_{00}$). Pośród tych trzech ostatnich wyznań znajduje się znaczna liczba dzieci nieślubnych (70·1$^{0}/_{00}$ obok 160·5 promille ślubnych).

Już z przyczyny wyżej wymienionej, posiada wielkie znaczenie rozmieszczenie ludności według wyznań. Na Słowaczyźnie jest 70·3$^{0}/_{0}$ katolików (na całych Węgrzech przeciętnie 51·5$^{0}/_{0}$), 23·7$^{0}/_{0}$ ewangelików augsburskiego (w całem państwie 6·7$^{0}/_{0}$) i 0·5$^{0}/_{0}$ helweckiego wyznania (ogółem w państwie węgierskiem 12·7$^{0}/_{0}$) i grecko-katolików 5$^{0}/_{0}$ (w państwie 9·6$^{0}/_{0}$). Trzy czwarte Słowaków wyznaje więc katolicyzm, a protestantyzm jedna czwarta; inne wyznania stanowią ułamek nie idący w rachubę. Słowacy

tedy co do wyznania są stosunkowo dość jednolici. (Między Madiarami np. jest 57 5% katolików, 27·3% kalwinów, a 15% przypada jeszcze na kilka innych wyznań. Rumunów 38% wyznaje grecko-katolicyzm, 61% prawosławie; Serbowie i Chorwaci są wyznaniowo prawie jednolici: mają zaledwie 1% innowierców. Żydzi wśród Madiarów stanowią 6·8% (procent przeciętny ogólno-węgierski 4·4), a między Słowakami 0·5%.

Najbardziej wszakże zajmującą jest statystyka narodowości na Węgrzech, niedawno opracowana przez prof. Dr. Niederlego, według ostatniego spisu ludności z 1900. r. („Narodowościowa mapa Słowaków na Węgrzech“, wydana przez Společnost národopisnego musea v Praze). Na Węgrzech jest 45·4% Madiarów (8,742.301) i 54·6% narodowości niemadiarskich. Sami Słowacy stanowią 10·5% całej ludności węgierskiej (2,019.641). Madiarzy posiadają absolutną większość w 31. komitatach, Słowacy w 10., Rumuni w 12.. Na Słowaczyźnie żyje 69% Słowaków (1,416.549), 18·8% Madiarów, 9·7% Niemców, 2·4% Rusinów. Tak więc prawie trzy czwarte Słowaków zamieszkuje zbicie Podkarpacie; prawie jedna czwarta żyje rozproszona po całych Węgrzech, przedewszystkiem na południu, gdzie tworzy dość znaczne wyspy narodowościowe. A zresztą Słowacy są tak rozproszeni i tak szeroko rozgałęzieni po całych Węgrzech, jak żadna inna narodowość prócz Niemców i Madiarów, co także świadczy o ich expanzywności.

Co do ruchu narodowości, Madiarów było w roku 1850. 36·5% całej ludności, innych zaś narodowości 63·5%. Madiarzy jednak przez przeciąg pół wieku wzrośli z 4,818.170 na 8,742.301, t. j. o 81%; w tym samym czasie niemadiarzy wzrośli o 2,158.875, t. j. o 25·8%. Z tego na Słowaków przypadło 279.770, t. j. 16%, na Rumunów 559.487, t. j. 25%, na Niemców 778.529, t. j. 57·3%, na Chorwatów 518.261, t. j. 44·6%, a na Serbów 72.228, t. j. 7·4%. Stosunek ten jest niekorzystnym dla wszystkich niemadiarskich narodowości Węgier, najniekorzystniejszym jednak jest dla Serbów i Słowaków. Zapewne, że mniej korzystny stan statystyki innych narodowości w stosunku do Madiarów należy częściowo rzucić na karb manipulacyj statystycznych, ale przecież wszystkiego tem tłómaczyć nie można. Świadczy o tem choćby i to, że szereg gmin, aż 98, zmadiaryzował się w latach czterdziestu, od r. 1850—1890.; zesłowaczyło się natomiast 55 gmin madiarskich, tak, że strata po stronie słowackiej na rzecz Madiarów

wynosiłaby 50.000 dusz. Za to zesłowaczyły się jeszcze 3 gminy rumuńskie, 3 serbskie, 15 niemieckich i 176 ruskich. Zniemczyło się 15 gmin słowackich, 1 zrutenizowała, 1 schorwatczyła i 1 zserbszczyła się.

Ostatecznie madiaryzacya, znajdując oparcie w całej powadze rządu i w najsilniejszej gospodarczo części społeczeństwa i mając przewagę w stanie urzędniczym, postąpiła przedewszystkiem w miastach, a to jako mniej lub więcej ważne mniejszości narodowościowe. Przy tem szczególniejsze znaczenie posiada nie liczebny wzrost Madiarów, ale ta okoliczność, że rekrutują się z najsilniejszej klasy społecznej. Adwokaci, lekarze, urzędnicy, obywatele ziemscy, wielu przemysłowców, chociaż przeważnie rodem wcale nie Madiarzy, podają się za Madiarów. Przedewszystkiem Żydzi na Słowaczyźnie, powodując się polityką osobistego oportunizmu, podają się za Madiarów. Tem tłómaczy się przewaga żywiołu liczebnie słabszego, wspieranego na wszelki sposób, a zgoła niesprawiedliwie przez system wyborczy i przez rząd. Jedynie tylko zmiana systemu wyborczego i wzmożenie się Słowaków narodowościowe i ekonomiczne, może wyrobić większe znaczenie dla żywiołu słowiańskiego na Węgrzech i dla Słowaków na samejże Słowaczyźnie.

LITWINI W PRUSIECH KSIĄŻĘCYCH.

(Dokończenie [1]).

V. Prasa i stowarzyszenia.

Prasa prusko-litewska datuje się od pierwszej połowy w. XIX. Jest zatem chronologicznie starsza od prasy litewskiej w t. zw. Wielkiej Litwie, t. j. Litwie zaboru rosyjskiego. Atoli poziom jej jest bez porównania niższy od poziomu prasy „wielkolitewskiej“.

Pierwszem pismem peryodycznem w języku litewskim był miesięcznik, wychodzący w Królewcu od r. 1832 pod nazwą *Nu-*

---

[1]) Zob. październikowy zeszyt *Świata Słowiańskiego,* w którym umieszczono trzy pierwsze rozdziały rozprawy p. Michała Römera:

1. Chronologia postępów germanizacyi.
2. Terytoryum Litwy pruskiej. Ludność prusko-litewska.
3. Petycye litewskie w sprawie językowo-szkolnej, —

tudzież zeszyt listopadowy, z rozdziałem czwartym:

4. Akcya wyborcza do sejmu i parlamentu.

sidavimai apie Evangelijos praplatinima tarp Zydu iz pagonu. („Wiadomości o szerzeniu ewangelii wśród Żydów i pogan“). Pierwszym redaktorem tego pisma był niejaki Kelkis. Jak wskazuje tytuł pisma, miało ono przedewszystkiem na względzie informowanie o sprawach misyjnych dla wzbudzenia zainteresowania do spraw tych wśród Litwinów i oczywiście dla odpowiedniego wyzyskania ich gorliwości chrześcijańskiej. Równolegle wszakże umieszczano w tekście pisma trochę wiadomości politycznych, oraz dotyczących Litwy i języka litewskiego. Pismo to wychodzi dotychczas.

Drugie pismo litewskie, tygodniowe, ale już treści świeckiej, *Lietuwininku Prietelius* — zaczęło wychodzić w Kłajpedzie w r. 1849.

W tym samym roku 1849 prof. Kurszatis zaczął wydawać w Tylży tygodnik *Keleivis* („Wędrowiec“). Pismo to zostało założone dla przeciwdziałania prądom rewolucyjnym, nurtującym w owym czasie państwo pruskie. Pismo było redagowane w kierunku patryotyczno-pruskim i monarchicznym; zwalczało wszelkie tendencye liberalne i konstytucyjne, broniło rozporządzeń rządowych. Pismo otrzymywało stałe roczne subsydyum od rządu w kwocie 450 marek. Wychodziło odtąd do r. 1880 stale pod redakcyą Kurszatisa.

W r. 1851 zaczęło wychodzić dwutygodniowe pismo litewskie, redagowane przez nauczyciela, p. Puck. Wychodziło przez czas krótki — tytuł nieznany, bo egzemplarze jego się nie dochowały. O piśmie tem dowiadujemy się tylko z polemik i przedruków w *Keleivisie* Kurszatisa, który, cytując,gani je i zwalcza, tytułu nie wymieniając. Pismo to, acz wychodziło krótko i wpływu nie wywarło, godne jest wzmianki z tego względu, że w niem po raz pierwszy zostało dobitnie zaznaczone narodowe stanowisko litewskie. Zadaniem tego pisma, o ile sądzić można z polemicznych przedruków *Keleivisa*, było zwalczanie urzędowego kościoła luterskiego na rzecz „wolnego chrystyanizmu“. Akcentowanie stanowiska narodowego było widocznie jeno jednym ze środków do tego zasadniczego celu. Bądźcobądź wszakże takie przemawianie do uczuć narodowych i takie jaskrawe wyodrębnianie Litwinów, jako narodu, od Niemców, którego próbkę zacytuję niżej, było rzeczą niezwykłą w stosunkach litewsko-pruskich.

„Za dawnych czasów, — czytamy w piśmie — Litwini sami się rządzili na swej ziemi, mieli własny rząd litewski i własne

ustawodawstwo, żyli w stanie szczęśliwym i byli ogólnie bardzo zamożni; nie znali tego ucisku, który dziś ciąży nad nami, ich potomkami. Ludzie obcy naszli i spustoszyli ziemię litewską, i oto dziś plemię litewskie, rozproszone tu i tam między Niemcami, nie posiada ani rządu litewskiego, ani ustaw narodowych. Wszystkie pisma krajowe, prasa, mowy poselskie, akta sądowe, akta administracyjne, są układane wyłącznie w języku niemieckim. Nigdzie się mowa litewska nie kształci i nie pogłębia, nigdzie Litwini nie mogą się we własnym języku dowiedzieć, co się w kraju dzieje. Jeno podatki, — tych nie zapomniano żądać od Litwinów narówni z Niemcami. W ten sposób Litwini są odcięci od rządu krajowego i od spraw krajowych. Na ziemi swych praojców są oni w położeniu cudzoziemców i są skazani na ciemnotę, pozbawieni oświaty i kultury“. Takiemi słowy nie przemawiał nikt dotąd do Litwinów pruskich; mowa taka była zresztą i tak niezrozumiałą dla nich.

Stopniowo ilość pism litewskich zaczęła wzrastać. Od r. 1861 wychodziło przez czas jakiś w Heidekrug pismo p. t. *Szilokarcziamos Apsakymas.* („Opowiadanie Heidekruskie“). W tem samem mieście od r. 1863 do r. 1864 wychodził *Lietuvininku Paslas.* („Poseł litewski“), redagowany w kierunku programu wolnomyślnego. W r. 1875 zaczął wychodzić w Tylży *Pasiuntinystes Laiszkelis* („Pisemko misyjne“), którego tytuł określa charakter pisma.

W 1878 zaczęło wychodzić w Kłajpedzie pismo tygodniowe *Lietuviszka Ceitunga* („Gazeta Litewska“), pod redakcyą p. Szerniusa. Koło tego czasu w t. zw. Wielkiej Litwie (czyli Litwie zaboru rosyjskiego) zaczęły się właśnie budzić pierwsze prądy odrodzenia narodowego, które miało się już tam rychło zacząć. Młoda inteligencya litewska, wyłaniająca się z ludu, zakładała tam kółka narodowe, których zadaniem było studyowanie historyi narodu, poznawanie kraju i ludu, szerzenie oświaty i świadomości narodowej. Kółka te w atmosferze niewoli politycznej oraz ucisku narodowościowego, panujących podówczas w państwie rosyjskiem, nie były w stanie rozwinąć należycie swej działalności. Praca była dorywcza, niedość zorganizowana, łamała się i rozbijała o przeszkody. Zakres objektywnej możności czynu nie odpowiadał zakresowi tęsknoty, energii i woli młodych „miłośników Litwy“, jak się nazywali ówcześni pionierzy odrodzenia litewskiego. Nie mogąc zrealizować swych za-

miarów na terenie własnym, zaczęli zwracać uwagę na Litwę pruską, jako na skrawek bądźcobądź konstytucyjny ziemi litewskiej, z którego mogliby prowadzić propagandę narodową na całą Litwę i w którym mogliby znaleźć oparcie dla utworzenia pierwszych zawiązków organizacyi oraz instytucyi narodowych.

Z pism litewsko-pruskich, które w tym czasie wychodziły, *Lietuviszka Ceitunga* p. Szerniusa wydawała się najodpowiedniejszą do wyzyskania jej dla zamiarów młodych „miłośników Litwy“. Pismo to stało na gruncie świeckim, było względnie postępowsze od innych, wreszcie redaktor p. Szernius był sam szczerym Litwinem, kochającym swój naród. Toteż rychło *Lietuviszka Ceitunga* stała się ośrodkiem ujawniających się litewskich dążeń narodowych. Dokoła pisma tego zaczęli się skupiać tacy „miłośnicy Litwy“ i działacze narodowi, jak dr. Basanowicz, dr. Szliupas z Wielkiej Litwy, dr. Sauerwein, Niemiec wprawdzie, ale gorący przyjaciel Litwinów. W *Lietuviszka Ceitunga* zaczęły się ukazywać artykuły o łączności Litwinów, o potrzebie zakładania towarzystw i związków narodowych, projekty o założeniu litewskiego towarzystwa naukowego. Artykuły te były pisane w kierunku narodowym, nic wspólnego nie mającym z tradycyjnem stanowiskiem państwowo-pruskiem, wyznawanem przez ogół Litwinów pruskich. Toteż kierunek ten rychło napotkał na niechęć, a wreszcie i opór ze strony czytelników. Posypały się protesty od czytelników, powstał okrzyk, że pismo sieje zdradę, że prowadzi agitacyę „żmujdzką“, że chce Litwinów pruskich przerabiać na Żmujdzinów, czego sobie oni bynajmniej nie życzą. Tradycye państwowo-polityczne, różnice religijno-wyznaniowe, wogóle odrębny układ stosunków w Litwie pruskiej w porównaniu do Żmujdzi i wogóle do t. zw. Wielkiej Litwy podsycały tę niechęć do utożsamiania się ze „Żmujdzinami“. Pod wpływem tej niechęci i protestów redaktor p. Szernius cofnął pismo ze stanowiska narodowego. Pismo odtąd stało się co do kierunku bezbarwnem, informacyjnem, i już wybitniejszej roli nie odegrało. Od r. 1900 *Lietuviszka Ceitunga* wychodzi 2 razy tygodniowo.

W r. 1879 zaczął wychodzić pod redakcyą p. Trauszysa tygodnik *Tiesos Prietelius* („Przyjaciel Prawdy“), jako pismo konserwatywne i patryotyczno-pruskie; od roku 1882 tygodnik ten został przemianowany na *Konzervatyvu Draugvstes Laiszkas* („Pismo Towarzystwa Konserwatywnego“) i stał się odtąd orga-

nem konserwatystów niemieckich; od r. 1899 *Kons. Dr. Laiszkas* wychodzi 2 razy tygodniowo. O kierunku tego pisma niema potrzeby mówić; jakim jest stosunek konserwatystów niemieckich do Litwinów — o tem mówiłem wyżej przy omawianiu akcyi polityczno-wyborczej.

W r. 1880 prof. Kurszatis sprzedał swe pismo *Keleivis* nauczycielowi p. Eynarsowi, który je wydawał nadal pod nazwą *Naujasis Keleivis* („Nowy Wędrowiec"). Pismo otrzymywało nadal, jak za czasów Kurszatisa, stałe subsydyum roczne (450 marek) od rządu i oczywiście w odpowiednim kierunku redagowane było. W r. 1883 *Naujasis Keleivis* przeszedł z rąk p. Eynarsa do rąk p. Kelkisa, syna założyciela najpierwszego pisma litewskiego, i wychodził nadal pod nazwą *Tilżes Keleivis* w kierunku na razie nieco przychylniejszym dla sprawy litewskiej; od r. 1888 *T. K.* zaczął wychodzić dwa razy tygodniowo, a od r. 1898 z dodatkiem tygodniowym. P. Eynars zaś, po oddaniu w r. 1883 *Naujasis Keleivis'a* w ręce p. Kelkisa, sam zaczął wydawać natomiast tygodnik pod wznowioną nazwą *Keleivis*, pobierając nadal subsydyum rządowe; w roku zaś 1886 *Keleivis* przeszedł w ręce p. Trauszysa i wychodzi dotąd, z zachowaniem subsydyum rządowego, jako dodatek do organu konserwatystów niemieckich: *Konzervatyvu Draugystes Laiszkas*.

Jak widzimy, dotychczas prasa prusko-litewska, której dzieje tu ogólnikowo skreśliliśmy, była litewską tylko z języka. Prócz krótkotrwałego pisemka p. Pucka z r. 1851 i prócz krótkiego okresu w wydawnictwie *Lietuviszka Ceitunga*, kiedy stanowisko narodowe było uwzględniane, wszystkie inne pisma były pod względem narodowym całkowicie bierne. Pisma te bądź zaspakajały potrzeby religijne Litwinów pruskich, bądź miały charakter li tylko informacyjny, bądź wreszcie służyły celom propagandy partyjnej stronnictw niemieckich i ewentualnie były skierowane do walki z prądami wolnościowymi. Pisma te odpowiadały zresztą w zupełności poziomowi świadomości ludu. Do tego czasu żadne jeszcze prądy narodowe lub konstytucyjne nie nurtowały w społeczeństwie prusko-litewskiem. Tradycyjna monarchiczna koncepcya państwowo-pruska panowała niepodzielnie w umysłach Litwinów. W akcyi parlamentarnej Litwini nietylko że się nie próbowali emancypować i szli wciąż na pasku konserwatystów niemieckich, — ale nawet wogóle mało się kwestyą

parlamentaryzmu interesowali; kluczem do polepszenia warunków bytu i ustaw był dla nich jeszcze zawsze król i rząd królewski, nie zaś przedstawicielstwo ludowe. Usamodzielnienie się i czynny udział w akcyi wyborczej i parlamentarnej nie świtały jeszcze w opinii ogółu litewskiego. Toteż i prasa, będąca wiernem odbiciem poziomu świadomości i pożądań społeczeństwa, była taką do lat 80-tych ubiegłego wieku.

Dopiero odtąd w prasie, jak też w społeczeństwie, zaczyna się zaznaczać pewien zwrot w kierunku narodowym i liberalniejszym. Nie jest to jakiś zwrot ostry i stanowczy, jeno już pewne szkicowanie się nowych prądów, narastających stopniowo na poprzedniem jednolitem i bezbarwnem tle prasy.

W tym czasie, mianowicie w r. 1883, założone zostało w Litwie pruskiej pismo *Aušra*, dokoła którego skupili się najwybitniejsi patryoci litewscy z zaboru rosyjskiego. Pismo to wszakże, które odegrało nader doniosłą rolę w dziejach odrodzenia narodowego Litwinów w państwie rosyjskiem, nie może być omawiane w dziejach prasy litewsko-pruskiej. Odtąd aż do r. 1904, gdy w państwie rosyjskiem zniesiony został zakaz drukowania wydawnictw litewskich czcionkami łacińskimi, cały szereg pism litewskich, przeznaczonych dla t. zw. Wielkiej Litwy, wychodził w Litwie pruskiej. Pisma te wszakże nie były bynajmniej wyrazem jakichś dążeń Litwinów pruskich, toteż ich tu uwzględniać nie będę wcale. Były one redagowane przez emigrantów z państwa rosyjskiego i do państwa rosyjskiego skierowane. Wpływów w Litwie pruskiej nie miały i przez ogół Litwinów pruskich były raczej niechętnie widziane. Jest to zupełnie osobna kategorya prasy litewskiej, już nawet zewnętrznie różniąca się od prasy pruskiej przez to, że była drukowana czcionkami łacińskimi, podczas gdy wydawnictwa pruskie używały czcionek gotyckich. Z tem zastrzeżeniem wracam do właściwej prasy prusko-litewskiej.

Nie będę tu wyliczał poszczególnie licznych pisemek treści religijnej i moralnej, których od r. 1881 powstało w Litwie pruskiej 9 do 10 i które nie wszystkie się utrzymać zdołały. Uwzględnię jeno wybitniejsze lub charakterystyczniejsze z pism świeckich. Od r. 1884 do r. 1886 wychodził wolnomyślny i dla Litwinów przyjazny tygodnik *Lietuviszkas Polytiszkas Laikrasztis* („Litewskie czasopismo polityczne"). Od r. 1884 do r. 1887 wychodził najpierw w Ragnecie, a potem w Tylży *Niemnuo Sar-*

gas („Stróż Niemna"), pismo o kierunku ściśle narodowym; powstanie i kierunek tego pierwszego narodowego pisma prusko-litewskiego nosi wszakże na sobie wyraźne piętno wpływów wielko-litewskiej *Aušry*; była to więc poniekąd próba przeszczepienia prądów odrodzeniowych z Wielkiej Litwy na grunt prusko-litewski; z tego względu *Niemnuo Sargas* nie jest dokładnem odbiciem świadomości i pożądań swych rodaków. W r. 1890 zaczęło wychodzić w Tylży dwa razy tygodniowo pismo *Nauja Lietuviszka Ceitunga.* Pismo to jest umiarkowanie narodowe, stoi na stanowisku „Litewskich konserwatywnych towarzystw wyborczych". Pismo to wychodzi dotychczas. W walkach wyborczych z konserwatystami niemieckimi pismo to oddało Litwinom wielkie usługi i wpłynęło niewątpliwie na rozszerzenie świadomości politycznej i narodowej ogółu litewskiego.

Od r. 1896 do 1898 pastor p. Jurkszatis wydawał tygodnik *Lietuvos Paslas,* którego zadaniem było zwłaszcza zwalczanie odrębnej litewskiej akcyi wyborczej i parlamentarnej.

W r. 1896 zaczął wychodzić w Tylży pod redakcyą p. Jagomastasa tygodnik *Lietuviszkas Laiszkas* („Pismo litewskie"), który od r. 1897 zmienił tytuł na *Auszra* („Jutrzenka"). Pismo to było redagowane w kierunku szczerze narodowym, atoli nie zdołało się utrzymać i w r. 1899 wychodzić przestało.

W czasie wyborów w r. 1898, na tle czynnego udziału Litwinów w akcyi wyborczej, stronnictwo wolnomyślne niemieckie wydawało w okręgu Kłajpeda-Heidekrug specyalny wyborczy organ partyjny z równoległym tekstem niemieckim i litewskim.

Od r. 1900 do 1902 wychodził miesięcznik *Sauleteka* („Wschód słońca"), którego dążeniem było „odrodzenie uczuć narodowych litewskich".

Od r. 1904 zaczęło wychodzić tygodniowe, a od r. 1905 miesięczne pismo *Pagalba* („Pomoc"), wydawane przez dr. Gaigalatisa; zadaniem tego pisma jest walka z ruchem wolnomyślnym w zakresie moralno-religijnym i z prądami wolnościowymi, a zwłaszcza z socyalizmem, w zakresie politycznym i społecznym.

Od r. 1905 pod redakcyą wybitnego literata p. Storosty wychodzi ciekawy miesięcznik *Saltinis* („Źródło"); jest to pismo filozoficzne, poświęcone zagadnieniom przeważnie metafizyki religijnej (protestanckiej) i psychologii; gruntu politycznego pismo to nie tyka wcale. W kierunku pisma dominuje mistycyzm

religijny, wolny zresztą od wszelkich formuł kościoła urzędowego; swobodna twórczość religijna jest tam proklamowana jako najwyższy szczyt twórczego ducha ludzkiego. Pismo to jest kwiatem kultury egzotycznej w prasie prusko-litewskiej.

W r. 1909 p. Jankus spróbował wydawać w Kłajpedzie pierwsze litewskie pismo codzienne pod nazwą *Dienos Lapas*. Dziennik ten zresztą nie zdołał się utrzymać i po kilku tygodniach wydawnictwa upadł.

Od roku też 1909 wychodzi pod redakcyą p. Vanagaitisa miesięcznik *Byrute*, redagowany w kierunku narodowym.

Wreszcie od r. 1910 zaczął wychodzić w Tylży pod redakcyą tegoż p. Vanagaitisa w języku niemieckim miesięcznik *Allgemeine Lithauische Rundschau*, którego zadaniem jest informowanie opinii publicznej niemieckiej o sprawach litewskich; w miesięczniku tym drukują się zresztą artykuły dotyczące nietylko Litwy pruskiej, lecz też stosunków narodowych w t. zw. Wielkiej Litwie, t. j. Litwie zaboru rosyjskiego.

* * *

Ważnym czynnikiem życia narodowego są stowarzyszenia i związki.

Na tem polu Litwini pruscy dotychczas mało zdziałali.

Pierwszem stowarzyszeniem, które Litwą i Litwinami się zajmować miało, było Litewskie Towarzystwo Literackie (Lithauische Litterarische Gesellschaft), które zaczęło być czynne od r. 1879. Towarzystwo to wszakże nie było narodowem. Do towarzystwa należeli tak Litwini, jak Niemcy; miało cechę wyłącznie naukową: zadaniem jego były studya nad Litwą, jej językiem, jej zwyczajami, jej ludową kulturą etniczną, aby wobec stopniowego zaniku plemienia litewskiego, ocalić dla nauki spuściznę zanikającego zjawiska i utrwalić te studya poznawcze w odpowiednich wydawnictwach. Towarzystwo wydaje stale *Mitteilungen der Lith. Litterarischen Gesellschaft*, w którym gromadzi materyały naukowe, dotyczące Litwy.

Takie towarzystwo nie mogło oczywiście zadowolnić tych Litwinów, którzy narodu swego nie uważali za wymierający i pragnęli w nim właśnie żywsze tętno rozwoju budzić. Pojmowali oni pożytek istnienia towarzystwa naukowego, pracującego nad poznawaniem Litwy, ale pragnęli pracę tę wyzyskać na rzecz żywej propagandy narodowej.

W r. 1882 na łamach *Lietuviszka Ceitunga*, która w tym czasie, jak to wyżej mówiłem, stawała się organem narodowców litewskich, zaczęto poruszać myśl założenia litewskiego towarzystwa naukowego, mającego zresztą służyć nietylko celom nauki, lecz i propagandy narodowej. Odpowiednie projekty były dość szeroko omawiane. W kampanii tej brali udział zwłaszcza dr. Basanowicz i dr. Szlinpas z Wielkiej Litwy, oraz kilkakrotnie już cytowany dr. Sauerwein. Podług projektu dr. Sauerweina chodziło nietyle o towarzystwo naukowe, jako zrzeszenie inteligencyi, ile o towarzystwo uwzględniające przedewszystkiem potrzeby językowo-oświatowe i kulturalne szerszych mas włościańskich, dla których towarzystwo prowadziłoby działalność wydawniczą, dostarczając im ksiąg treści religijnej, Pisma św., śpiewników i t. d., utrwalając wśród nich najelementarniejszą oświatę w języku narodowym. Projekt dr. Basanowicza sięgał wyżej i miał na względzie wydawanie podręczników nauk świeckich w języku litewskim i wogóle rozwój akcyi wydawniczej na większą skalę dla poparcia i rozszerzenia piśmiennictwa narodowego. Na razie projekt ten nie dał się z rozmaitych względów urzeczywistnić. W r. 1883 i 1884 projekt ten znów był kilkakrotnie poruszany, budząc już szersze zainteresowanie. Wreszcie w r. 1885 grono Litwinów pruskich z pp. Jankusem, Mikszasem, Woską i Weyerisem na czele, założyło pierwsze towarzystwo litewskie pod nazwą „Byrute". W myśl założeń dr. Basanowicza zasadą towarzystwa było: odrodzić język litewski, popierać go i rozwijać, jak najszerzej go w życiu zastosować, aby przestał być li tylko językiem domowego użytku włościan i wyszedłszy z tych ciasnych ram, w których się coraz bardziej kurczy i ubożeje, mógł się stać zdatnym do zaspakajania szerszych potrzeb kulturalnych. Towarzystwo „Byruta" zdołało się rozwinąć i przez lat dwadzieścia kilka wciąż jest najczynniejszem towarzystwem litewsko-pruskiem. Środki, któremi towarzystwo do celów swych dąży, są liczne i urozmaicone: wydaje książeczki piosnek ludowych (dajny), wspiera czasem organa prasy, urządza zabawy i uroczystości litewskie, wieczorki, przedstawienia amatorskie, koncerta śpiewackie i t. d. „Byruta" jest solą w oku dla Niemców oraz tych Litwinów, którzy z niechęcią spoglądają na wszystko, co tchnie żywszem uczuciem narodowem.

Następnie od r. 1890 zaczęły powstawać w poszczególnych okręgach wyborczych t. zw. „Litewskie konserwaty-

wne towarzystwa wyborcze", których zadanie oraz działalność skreśliłem wyżej, mówiąc o akcyi politycznej Litwinów, toteż tu powtarzać tego nie będę.

Wogóle powstawanie stowarzyszeń litewskich postępowało nader powoli. Projektów nie brakło, ale zwykle od projektu do realizacyi szła długa droga zebrań przedwstępnych, układania statutów i t. d., na której projekty grzęzły, nie mogąc się doczekać wcielenia w czyn. Tej genezy i przedwczesnej zwykle śmierci projektów nie będę tu kreślił.

Z projektów, które zostały zrealizowane w postaci założonych towarzystw wymienię następujące: W r. 1899 założone zostało „Litewskie towarzystwo śpiewackie"; zbiera ono pieśni ludowe litewskie, układa je do śpiewu chóralnego na kilka głosów, organizuje i kształci chóry, urządza wieczorki i koncerty w rozmaitych miejscowościach Litwy pruskiej. W r. 1901 założone zostało towarzystwo pod nazwą „Zjednoczenie Litwinów pruskich"; charakter towarzystwa oświatowo-kulturalny; działalność polega na wydawaniu i szerzeniu książek, rycin i pocztówek litewskich, na urządzaniu zebrań, odczytów i pogadanek, na zakładaniu popularnych bibliotek po miastach i wsiach. „Zjednoczenie Litwinów pruskich" podług pierwotnego projektu założycieli miało się stać organizacyą związkową istniejących dotychczas stowarzyszeń kulturalnych i oświatowych litewskich, takich jak „Byruta", „Towarzystwo śpiewackie" i inne drobniejsze, których byt był o tyle suchotniczy, że nie są warte osobnej wzmianki. Atoli takie scentralizowanie istniejących towarzystw nie dało się uskutecznić. Jedno tylko towarzystwo, mianowicie założone w r. 1898 „Towarzystwo czytania i pisania litewskiego" przelało do kasy „Zjednoczenia" swe fundusze, rozwiązując się samo. W r. 1903 założona została w Litwie pruskiej „Grupa towarzystwa Miłośników Ojczyzny", jako sekcya towarzystwa oświatowo-kulturalnego, funkcyonującego pod tą nazwą wśród Litwinów w Ameryce. W tym samym r. 1903 Litwini, zamieszkali w Berlinie, utworzyli „Towarzystwo litewskie w Berlinie", którego zadaniem jest szerzenie świadomości narodowej śród zamieszkałych tam Litwinów i wogóle stworzenie dla nich ośrodka towarzyskiego i kulturalnego w kierunku narodowym.

Parę mniej lub więcej rozgałęzionych i mniej lub więcej czynnych stowarzyszeń wyznaniowych i etyczno-oświatowych wyczerpuje ostatecznie listę istniejących wśród Litwinów pruskich stowarzyszeń.

Bardzo rozpowszechnione są rozmaite specyalne stowarzyszenia dewocyjne, w rodzaju bractw. Są one bardzo rozgałęzione i liczą członków na tysiące. W 8 okręgach litewskich w r. 1900—1901 ilość członków tych stowarzyszeń wynosiła przeszło 21.000. Ogromna większość tych członków rekrutuje się z litewskich elementów wiejskich. Członkowie zgromadzają się dla wspólnej modlitwy podług określonego porządku, utrzymują specyalnych kaznodziejów wędrownych, wyznają pewne określone zasady i nietylko że układają podług nich własne życie, ale też dążą do narzucenia ich innym i rozciągają kontrolę nad życiem i zwyczajami całej okolicy. W stowarzyszeniach tych skupiają się najciemniejsze, najbardziej fanatyczne żywioły ludności. W skrajnym rygorystycznym formaliźmie dochodzą nieraz do absurdu; zwalczają wszelkie stroje jaskrawsze, wszelkie zebrania i zabawy świeckie, pieśni świeckie, tańce i t. p. Oczywiście też, że z gorliwą nienawiścią tępią wszelki przejaw wolniejszej myśli, wszelkie liberalniejsze prądy społeczne i polityczne, gaszą wszelką iskierkę postępu; wszystkie stowarzyszenia litewskie o charakterze świeckim i narodowym są przez ten fanatyczny tłum stowarzyszonych dewotów prześladowane i namiętnie zwalczane, jako dzieło szatana, uwodzącego dusze ludzkie na manowce pokus światowych. Wielkie rozgałęzienie tych stowarzyszeń dewockich po wsiach litewskich tworzy poważną tamę rozwoju kulturalnego Litwinów. Wszelka akcya polityczna i społeczna, wychodząca z ram rutyny, musi napotkać na swej drodze i zwalczyć opór środowiska, wytworzonego przez stowarzyszonych, co nie zawsze daje się uskutecznić.

* * *

Z powyższego szkicu, który jest oczywiście niezupełny — a zwłaszcza przedstawia lukę dotkliwą co do układu czynników ekonomicznych na terenie Litwy pruskiej, — daje się bądźcobądź w ogólnych rysach odtworzyć obraz upadku narodowego Litwinów pruskich oraz ich bardzo powolnego dźwigania się. Dźwiganie się to postępuje nader powoli, ale pewne jego zwiastuny dają się dostrzedz — zwłaszcza na tle akcyi wyborczej, która coraz bardziej uwydatnia właściwe podłoże społeczne dla ruchu litewskiego.

Michał Römer.

UWAGA O RUMUNACH.

W pośród narodów słowiańskich, na obszarze przez nie zajmowanym, mieszkają ludy także innego szczepu. Oprócz Żydów i rozmaitych plemion czuchońskich, są tu szczepy łotysko-litewskie, Madiarzy i Rumuni. O wszystkich tych ludach wiemy, że stanowią razem do 30 milionów dusz, że chcą żyć i rozwijać się. Od stanowiska, jakie zajmą wobec Słowian, czy to traktowanych jako całość, czy też wobec każdego narodu słowiańskiego z osobna, w znacznej części zależeć będzie pomyślne rozwiązanie kwestyi słowiańskiej.

Wszystkie te ludy niesłowiańskie nie mają niczego, coby je łączyło między sobą; obce są sobie wzajem pochodzeniem, językiem, wyznaniem. Tyle atoli nie ulega wątpliwości, że wszelka zachłanność z naszej strony, wszelkie nawet podejrzenia, jakieby u nich mogły powstać przeciw nam, uprzedzenia chociażby, zamienią ich w naszych wrogów.

Z pośród nich na Litwinów *Świat Słowiański* zwraca najbaczniej uwagę. O Madiarach także pisał niejednokrotnie. Dzisiaj poruszymy sprawę rumuńską.

Rumuni zamieszkują, jak wiadomo, w zwartej masie Królestwo rumuńskie (7 milionów), Siedmiogród (3 miliony), południową Bukowinę ($^1/_4$ miliona) i Bessarabię (1 milion), razem więc stanowią przeszło 11 milionów mieszkańców[1]). Stanowią więc naród najliczniejszy w południowo-wschodniej Europie.

Rumuni bessarabscy, t. zw. Mołdawianie, posiadają bardzo mało świadomości narodowej, (wystarczy przypomnieć, że stamtąd pochodzą Puriszkiewicz, Kruszewan, Kasso i t. p.). W Królestwie rumuńskiem polityka pochłania umysły, na czem cierpi oświata ludu oraz interesy ekonomiczne. Liczba analfabetów przenosi 70%. Handel i przemysł w znacznej części w ręku niemieckiem; głównego produktu krajowego, nafty, opanowali Niemcy 90%.

W Siedmiogrodzie wreszcie Rumuni popadli w znany ucisk madiarski: Pomimo to, ekonomicznie zwłaszcza, podnoszą się. Organizacya finansowa społeczeństwa rozpoczęła się tam w r. 1872.

---

[1]) Liczby podług statystyk dawniejszych. Dzisiaj można śmiało przyjąć conajmniej 12 milionów.

założeniem banku Albina. W r. 1904. banków rumuńskich liczono 104, w których mieściło się kapitałów i wkładek 70 mil. koron. Na pograniczu językowem rumuńsko-madiarskiem, pomimo wszelkich gwałtów, Rumuni stale czynią postępy.

Za to na Bukowinie ustępują przed Rusinami, jakkolwiek cieszą się tam równouprawnieniem.

Królestwo rumuńskie znajduje się pomiędzy Rosyą, Austryą a Bułgaryą, naród rumuński zaś graniczy od północy z Rusinami, od zachodu z Madiarami, od południa z Bułgarami. Wyznaniowo jak wiadomo, należą Rumuni do obrządku wschodniego, dyzunickiego, tylko mniej niż połowa siedmiogrodzkich przyjęła unię.

Celem polityki rumuńskiej z natury rzeczy jest i być musi zachowanie narodowości i rozwój, oraz zapewnienie jej przynależnego stanowiska w Europie. Z tego wyłania się zaraz kwestya „wielkiej Rumunii“ t. j. połączenia Królestwa, Bessarabii, Siedmiogrodu i Bukowiny rumuńskiej.

Ale to dopiero plany i możliwości przyszłości dalekiej.

Oczywiście przedewszystkiem uważają Rumuni za zawiązek i środek bytu narodowego Królestwo swoje i wszelkie starania wytężają na to, aby je utrzymać i rozwinąć. Za podstawę kulturalną przyjęli cywilizacyę francuską, sami zaliczając siebie do ludów romańskich.

W życiu politycznem dominują dwie myśli: podejrzenie względem Rosyi i nienawiść do Madiarów.

Rosya przyczyniła się wprawdzie do wyzwolenia ich z pod jarzma turecko-fanariockiego, ale tak często okazywała ochotę opanować kraj cały (a nawet Bessarabię zabrała rzeczywiście), że trudno się dziwić Rumunom. Jak Bułgarzy kochają oswobodzicieli zdaleka tylko, tak Rumuni sąsiadując z kolosem północnym, mają się przed nim bardzo na baczności. Z tej przyczyny trzymają się też trójprzymierza; niedowierzają zaś Słowianom.

Daleko ważniejszy jednak jest stosunek do Madiarów. Między Rumunami siedmiogrodzkimi a Madiarami wre walka na zabój, podobna do czesko-niemieckiej, lub polsko-pruskiej. Walka ta coprawda dotyka Królestwa tylko pośrednio, podobnie jak polsko-pruska Galicyi, ale wiadoma to rzecz, że Królestwo troszczy się dosyć żywo o braci za kordonem, pomagając im nawet na drodze dyplomatycznej i że tej mianowicie opiece zawdzięczają Siedmiogrodzianie, że los ich mimo wszystko jest znacz-

nie znośniejszy od Słowaków. Rumuni znajdują się więc w całkiem naturalnej opozycyi do Translitawii, a skutkiem tego interes ich zmusza do sympatyi z Wiedniem przeciw Budzyniowi, podobnie jak Budzyń z Berlinem starają się połknąć Wiedeń. Innemi słowy: Jak interesem Madiarów jest trójprzymierze, tak w interesie Austryi i Rumunów zarazem leży zerwanie z niem.

Pamiętni na wyzwolenie Księstw naddunajskich przez Rosyę i złączeni z nią wspólnym obrządkiem, Rumuni siedmiogrodzcy oglądali się, jak ongi Słowacy, na Rosyę. Ale to wzdychania tylko platoniczne. Nie wysyłali adresów do białego cara, ani do króla Karola, lecz do „cesarza“ w Wiedniu — ku oburzeniu Madiarów. Dzisiaj nimb Rosyi przybladł w chatach transsylwańskich. Jej klęski, państwo niemieckie i nacyonalizm szalejący nie dozwala pokładać w niej nadal nadziei ani Słowakom, ani Rumunom.

Jak można zrealizować ideał wszechrumuński, połączenie wszelkich krain języka rumuńskiego, do czego Rumuni mają niewątpliwie prawo moralne, to sprawa wcale nie blizkiej przyszłości i można tu dziś mówić raczej o wyobrażeniach, niż o programie. Trudno przypuścić, żeby patryota rumuński wyobrażał sobie, że Królestwo rumuńskie zdobędzie na Habsburgach, co pod ich berłem jest rumuńskiego. Łatwiejby już wyobrazić sobie jakąś unię rumuńsko-austryacką, przez którą Królestwo, Siedmiogród i Bukowina zespoliłyby się. Oczywiście, że ręka w rękę z unią austryacko-rumuńską musiałoby pójść oddzielenie Siedmiogrodu od Węgier, skupienie czterech krain rumuńskich na jedną całość samorządną, a nawet w dalszym ciągu przemiana dzisiejszego niedorzecznego ustroju Austryi na federacyę unionistyczną. Byłoby to pognębieniem Budzynia a zwycięstwem Wiednia.

Rumunia zmuszona jest iść razem z Wiedniem. Dopóki Wiedeń na swoją zgubę hołduje Berlinowi, dopóty i Rumunia musi się trzymać trójprzymierza, oczywiście także na swoją zgubę. Bo ostatecznym wynikiem trójprzymierza będzie imperyalizm niemiecko-madiarski, a skoro Hohenzollern zasiądzie na tronie Korwina i szczęśliwie aż po granicę wschodnią Siedmiogrodu brzmieć będzie język madiarski, to przypomni sobie o tem, że właściwie granicą jego powinno być... Morze Czarne.

Interes rumuński rozbiega się więc zgoła z interesami niemiecko-madiarskiemi. Za to biegnie równolegle z interesem słowiańskim. Bo i nam grozi bądź Niemiec, bądź Madiar, i jeżeli

12 milionów Rumunów może stać się żerem madiarskim, to Czesi, Polacy i Słowieńcy daleko prędzej gotowi zostać łupem niemieckim, nie mówiąc już o Słowakach i Serbochorwatach.

Najważniejszą sprawą w Austryi dzisiaj jest złamanie hegemonii madiarskiej. Ona to stanowi oparcie przedniejsze dla agitacyi antydynastycznej, prusofilskiej, ona jest tarczą wszechniemieckości, ona wtrąca monarchię w położenie międzynarodowe najfałszywsze, w przyjaźń turecką i niemiecką, ona wreszcie wyzyskuje Cislitawię ekonomicznie (wspólnej „kwoty“ Węgry płacą zaledwie 37%!). Despotyzm madiarski zarówno tępi Polaków, Słowaków, Rusinów, Serbochorwatów, jak Rumunów. Równouprawnienie ludów translitawskich: oto cel wspólny.

Już dzisiaj istnieje porozumienie narodowości niemadiarskich, zwłaszcza zaś ścisłe przymierze słowacko-rumuńskie. Należy je coraz utwierdzać i rozszerzać, aby przeszło w przymierze rumuńsko-słowiańskie. Całkiem ono naturalne, bo żaden naród słowiański — oprócz chyba Rusinów, prowadzących zdawna politykę antysłowiańską — nie toczy sporu z Rumunami; przeciwnie: Bułgarzy mają równy obrządek i wspólne tradycye z wyzwolenia z pod Turka, podobnie Serbowie, Chorwaci i Słowacy wspólną z nimi walkę z najazdem madiarskim. Oczywiście z panslawizmem pragnącym stopić wszystkie ludy słowiańskie w kolosa rosyjskiego, Rumuni nie zaprzyjaźnią się nigdy, ale dzisiaj te narody słowiańskie, co swobodnie rozstrzygają o sobie, w szczególności ludy monarchii habsburskiej, odmiotły go od siebie i stawiły na pierwszem miejscu swobodny rozwój i niezależność każdego narodu słowiańskiego — a to także jest celem rumuńskim.

Jakim sposobem dojść do porozumienia słowiańsko-rumuńskiego? Trzy zwłaszcza narody mieszkające w Austryi wchodzą tutaj w rachubę. Słowacy zrobili już swoje. Czesi mogą pod względem finansowym dopomódz osobliwie Siedmiogrodzianom, stwarzając np. — bank centralny w Peszcie dla instytucyj finansowych słowackich i rumuńskich, oraz wyzwolić Królestwo z pod wyzysku kapitału niemieckiego. A Polacy?

Z Rumunami łączą nas tradycye historyczne: toż Multany długie lata hołdowały Polsce, a jeżeli powstawały przeciwko suwerenowi, to też ten nie obronił ich od Turków — jedna z przewin słabej polityki naszej. Jeszcze w osiemnastym wieku szlachta rumuńska używała języka polskiego. Dzisiaj ze wszystkich

narodów Europy wschodniej najwięcej cywilizacyi francuskiej mamy właśnie my i Rumuni. Nigdzie nie graniczymy z Rumunami, interesów spornych zupełnie nie mamy z nimi; przeciwnie nawet i im i nam zagrażają Rusini. Rumuni dobrze wiedzą, że nie dzieliliśmy nigdy z innymi Słowianami ślepego ubóstwienia Rosyi, że zwalczaliśmy zawsze panslawizm i nie damy się nakłonić do niego. Jeżeli więc nawet co do Czechów lub Słowaków żywić mogliby uprzedzenia, my obaw w nich nie wzbudzamy żadnych.

Co prawda i w Rumunii, zwłaszcza w Królestwie dwa są czynniki wrogie Słowianom, nieprzejednane zapewne nigdy: dynastya hohenzollernska i Żydzi. Tembardziej więc obliczyć się trzeba, co my Rumunom dać możemy. Otóż zdaje mi się, że pomódz możemy w niejednem; bądź na Bukowinie, bądź w Austryi, gdzie żywioł polski i delegacya polska, dość wybitną odgrywa rolę. Uniwersytety nasze powinny się starać przyciągnąć Rumunów (zaprowadzić lektorat rumuński). Prasa niejedno winna tu uczynić dla zbliżenia obojga narodów.

Ktk.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Oddawna w prasie **ruskiej** toczy się walka dwóch wrogich sobie kierunków, którym leży, a przedewszystkiem leżeć powinna na sercu przyszłość własnego narodu i Rusi. Jakkolwiek dawniej już kości rzucone zostały, dziś dopiero walka zaogniła się i zanosi się na coś niezwykłego. Organy tych dwóch obozów, to *Rusłan* i *Diło.* Walka toczy się z wysunięciem na plac boju godziwych i niegodziwych środków, które popychają *Diło* do popierania spraw nawet takich, które nie tylko nie są zgodne z kierunkiem zasad narodowych demokratów, ale nawet poniekąd szkodzą mu. Tak n. p. popieranie i bronienie sprawy ks. Kamińskiego, (który próbował zamachu na ks. biskupa Chomyszyna), jedynie zacietrzewieniu przypisać należy. Nie waha się też *Diło* na głos przed światem całym wołać, że chrześcijańsko-społeczni, zjednoczeni w *Rusłanie*, to najzawziętsi wrogowie Rusi, wrogowie ludzkości, to „polskie janczary".

Wykombinowało sobie niejako *Diło,* że jemu należy się przewodnictwo i głos naczelny w prasie ruskiej, że ono będzie wskazywać drogi do postępu i rozwoju, a wszystkie inne pisma powinny harmonizować z niem, będąc tylko niejako odbiciem lub powtórzeniem mysli jego. Łatwo z tego wymiarkować, że *Diło* rzucając kamieniami obelgi na partyę chrześijańsko-społecznych, pragnie zohydzić ją w oczach narodu, przytem nie tyle chodzi mu o samą partyę, ile raczej o kościół grecko-katolicki, który

dla jego charakteru katolickiego mieni polskim. Dlatego też może chętnie rzuciłoby się w objęcia schyzmy, żeby tylko uwolnić się od zwierzchnictwa Rzymu, uchodzącego u niego za przyjaciela Polaków. Nie kryje się nawet *Diło* z ateizmem, zaznacza wyraźnie w nrze 236., że jego zwolennicy nie są faryzeuszami, jak ich mienią chrześcijańsko-społeczni, ale rzeczywiście wyznają te zasady ateistyczne, które głoszą przed światem. Ciekawe! Jakżeż szybko zmieniły się przekonania, przecież niedawno jeszcze, gdy im zarzucano ze strony księży ruskich ateizm i propagandę niedowiarstwa wśród ludu i młodzieży, oświadczyli, iż robią to tylko dla agitacyi przeciw *Rusłanowi*. Używa sobie *Diło* bezkarnie na wszystkich, którzy nie postępują według jego „ateistycznego credo", a szczególnie na członkach chrześcijańsko-społecznego „Sojużu", których organem jest *Rusłan*.

Jak ciężka wytworzyła się atmosfera duchowa wśród społeczeństwa ruskiego w Galicyi dzięki *Diłu* i jego kompanii, niech zaświadczą słowa Dra Franki:

Ciężkie jarzmo twoje, mój ojczysty kraju,
Jak pod krzyżem, tak pod niem upadam.
Z ojcowskiej twojej ręki otrzymuję
Zatruty puhar! — — — — — —
— — — — — jednego Ci tylko życzę,
Ażeby jak od ognia i głodu nie uciekali het od Ciebie
Twoi najsławniejsi synowie,
Ażeby siewaczów twoich własne pokolenie
Na drwiny nie brało i na śmiech,
Ażeby symbolem ich nie były te kamienie,
Jakimi w nagrodę za płodonośne nasienie
Jeszcze za życia obrzucano ich —

Oto oczywista prawda, rzucona w oczy tym, którzy właśnie wytworzyli w Galicyi ferment niezdrowy, odbierający odwagę najznakomitszym działaczom w pracy narodowej.

Rusłan natomiast z większym spokojem stara się wykorzenić owe niezdrowe ziarno. W artykułach „De je ukraińskij patryotyzm narodowo-demokratiw" (Nr. 236—240) wykazuje dobitnie, gdzie należy szukać patryotyzmu u tych przodowników, którzy i sztandar narodowy tylko wtedy z całą energią podnoszą, gdy idzie o posady, lub... gdy który z nim dozna niepowodzenia (np. złą posadę lub małą parafię). W takiej zapamiętałości zdolne jest nawet *Diło* nazwać księdza Kamińskiego „męczennikiem". W całej tej akcyi działa *Diło* zaczepnie, lecz siląc się na różne sposoby zniszczenia przeciwnika, działa po warcholsku, nie dbając o to, czy to przyniesie korzyść, czy demoralizacyę narodowi. *Rusłan* natomiast poprzestaje tylko na odpieraniu zarzutów, z całą powagą stara się wykazać mylność myśli przewodniej *Diła* i ich postępowania. Słusznie broni Kościoła grecko-katolickiego, jako ostoi i obrony narodu przed schyzmą, a tem samem przed propagandą rusofilską, na co *Diło* nie zwraca uwagi, gdyż przyzwyczajone we wszystkich widzieć wrogów, nie może wywnioskować, skąd zdąża niebezpieczeństwo, czy od Lachów, czy od Moskali, czy wreszcie od Kościoła rzymskiego.

Inne organy, których celem jest burzenie istniejącego porządku rzeczy, idą za *Diłem*, posuwając się w swych wywodach antyklerykalnych i antyreligijnych do najskrajniejszych teoryi.

Charakterystycznym rysem tych dążeń wyzwolenia się radykałów ruskich z objęć Kościoła są trzy artykuły *Hromadśkoho Hołosu* (Nr. 49): „Czomu dla nas szkidływi, Sokoły ta sokilski Siczy i Narodowci popy a Proświta“; oraz „Popy rabujut Hucułiw“ (Nr. 50), w których zarzuca się księżom ruskim, że tamują postęp narodu ruskiego, wyzyskują chłopów materyalnie i utrzymują ich w ciemnocie, aby sobie zabezpieczyć nadal uprzywilejowane stanowisko. Wyraża się nawet, iż gorsi są od żandarmów, gdyż ci już teraz lepiej się obchodzą z ludźmi, gorsi od żydów, gdyż ci teraz mniej wyzyskują lud, niedopuszczając się tak wielkich szachrajstw, czego ci ostatni nie dokonali, dokonują „popi“. Zapomina *Hromadśkij Hołos*, iż z księży rekrutują się najwięksi działacze po wsiach.

Dwie sprawy wyzwoliły na razie prasę ruską z tej wewnętrznej rozterki i uchyliły na czas jakiś owe wewnętrzne niesnaski partyjne: stuletni jubileusz Markiana Szaszkiewicza, oraz sprawa ucieczki Siczyńskiego. Zniknięcie jego z więzienia napełnia serca Rusinów niepomierną radością. Bo na cóż, według ich zapatrywań, miał więdnąć w więzieniu, jeśli jest pełen sił i ochoty do pracy narodowej? Prasa ruska niemal cała bez względu na różnice partyjne mieni go męczennikiem sprawy narodowej, który pokazał rodakom, w jaki sposób naród dochodzi do wolności i postępu; zapomina zaś zupełnie, że droga wskazana przez Siczyńskiego nie jest bynajmniej dla narodu jego zbawienną, zwłaszcza dla narodu tak młodego.

Przytem nie omieszkały wspomnieć pisma ruskie odgłosów strzałów brauningowych i nie zagojonych jeszcze od nich ran.

Poruszyła bardzo prasę ruską rozmowa Dra Kramářa z redaktorem rosyjskiej gazety *Nowoje Wremia*, miał bowiem zalecać przeciwko grożącemu Rosyi i Austryi niebezpieczeństwu ze strony Rusinów wspólną akcyę obu państw. Żądał dla Polaków koncesyi narodowo-politycznych od Rosyi w Królestwie, wzamian za ustępstwa ze strony Polaków dla Rosyan w Galicyi; propaguje więc zamach na naród ruski, tem niebezpieczniejszy, że Polacy, według kijowskiej *Rady*, od kilku lat już przystąpili do usilnej a konsekwentnej polonizacyi kresów wschodnich w Galicyi, w czem pod przewodnictwem Towarzystwa T. S. L. bierze udział całe społeczeństwo.

Na ugodę polsko-ruską zapatruje się nacyonalistyczna prasa bardzo sceptycznie. Zaznacza to wyraźnie *Diło* w artykule (nr. 259) „Za zbereżenie polskoho politycznoho stanowyszcza w derżawi i kraju“, twierdząc, że Rusini nie mogą Polakom dowierzać, uwzględniając przemówienie posła Jaworskiego na posiedzeniu „prawicy narodowej“, w którem wyraźnie miał zaznaczyć, że Polacy muszą utrzymać swą przewagę i uprzywilejowane stanowisko w sejmie i w kraju.

Oto właśnie, jak pisze prasa ruska, rozbiją się wszelkie usilne starania o pojednanie obu narodowości, gdyż bez załatwienia reformy wyborczej do sejmu wedle życzeń Rusinów, ugoda nie da się nawet pomyśleć.

Stale jednak zapewnia *Diło*, że naród ruski pragnie zgody i chętny jest jak najszybszemu załatwieniu tej sprawy. W artykule (nr. 259) „W sprawi perehoworiw“ powiada, że „ukraiński naród gotów podać rękę do zgody polskiemu sąsiadowi. Ukraiński klub gotów jest zasiąść do ugodo-

wego stolika z Kołem Polskiem, zapomniawszy o wszelkich przykrych doświadczeniach, jakie naród ukraiński miał możność doznać w ostatnich pięćdziesięciu latach", albowiem są świadomi już obecnie tego, że „to musiałoby wyjść na korzyść nacyonalnego rozwoju naszego narodu, a dalej na korzyść naszego przeciwnika i na dobro całego kraju, w którym losy nakazały żyć obu narodom". *d.*

Rosyjski organ neoslawizmu, wychodzące w Petersburgu *Sławianstwo,* zamieściło ciekawą dla nas pracę jednego z najwybitniejszych lingwistów i historyków rosyjskich, sławnego Szachmatowa. Uczony ten twierdzi, że w wieku VII—VIII. po Chr. cała obecna Rosya środkowa była skolonizowana przez plemiona polskie, które osiadły w górnem dorzeczu Dniepru, w części górnej Wołgi i Oki, a plemiona ruskie usadowiły się na południo-zachodzie, na Podnieprzu i Podniestrzu, a po części na południo-wschodzie, około morza Azowskiego. W ten sposób część północna Podnieprza była zajęta przez plemiona polskie, i ludność ruska w dążeniu swem na północ z południa musiała przedostawać się przez środowisko polskie. Tylko zwyciężywszy Polaków i zmieszawszy się z nimi Ruś mogła iść dalej w kraje leżące nad Dźwiną i Łowatą. Rzeczą jest możebną, że przed zjawieniem się Rusi w północnem Podnieprzu, fala lechicka nie szła daleko na wschód, lecz zabór (zachwat) przez Ruś krajów w wierzchowinach Dniepru odrzucił ludy polskie daleko na wschód nad Wołgę i w kraje nad Oką. W ślad za Polakami poszła i Ruś i zabrała pobrzeża Dźwiny zachodniej, a później za niemi i kraje u wierzchowin Wołgi, a przed zjawieniem się Rusi, plemiona polskie osiadły nad Wołgą i Oką.

Takie zetknięcie się Rusi z Polakami pozostawiło ślady polskości na całym ustroju północnych gwar językowych ruskich.

Według tegoż uczonego, gałąź lechicka (polska) Słowiańszczyzny była najliczniejszą z pomiędzy słowiańskich narodowości, ona zajmowała odwieczne (iskonnuju) terytoryum słowiańskie i ona to pierwsza kolonizowała wschodnie kraje po ustąpieniu z nich Finnów.

Jestto zawiła kwestya naukowa, łącząca się ze znanym ustępem o Polanach w Nestorze. Wyrażano już nieraz przypuszczenie, że z Wielkopolski odbyła się emigracya nad Dniepr, która przesuwała się nad Wołgę, (z czem łączy się druga znów kwestya Radimiczów i Wiatyczów) — ale nigdy jeszcze nie traktowano tej sprawy tak obszernie i gruntownie i nikt też nie przypisywał tej immigracyi takiej rozległości, jak prof. Szachmatow. Nauka ma temat na długie jeszcze lata; naszą rzeczą może być tylko zdawać sprawę z dyskusyi naukowej, o ile się rozwinie.

W organie giełdy petersburskiej *Birżewyja Wiedomosti* pojawił się interwiew o nacyonaliźmie z byłym prezydentem dumy N. A. Chomiakowem. Chomiakow twierdzi, że jego nacyonalizm jest — jak się wyraża — skrajniejszy od nacyonalizmu Krupińskiego i Bałaszewa, bo cóż to za nacyonaliści nie mający wiary w siłę rosyjskiego narodu i żądający, żeby mu sztucznymi środkami dopomagać do utrzymania przewagi. Chomiakow oburza się na ucisk innych narodowości, a zwłaszcza Polaków i na niepotrzebne, zdaniem jego, policyjne uprzywilejowanie prawosławia. Poczucie jego rosyjskie i prawosławne czuje się upoko-

rzonem, gdy związek istinno-russkich rozwija w cerkwiach swe sztandary, a fakt, że pewna część wstecznych nacyonalistów nazwała się „Związkiem archanioła Michała“ uważa za bluźnierstwo względem religii. Gdyby wszyscy szlachetni nacyonaliści porozumieli się, nie byłoby ani uciskającego narodu, ani uciskanego. N. A. Chomiakow nie widzi potrzeby specyalnej ochrony, ani dla języka rosyjskiego, ani dla cerkwi prawosławnej; skoro bowiem przetrwały one jarzmo mongolskie, trudno zrozumieć, jakie niebezpieczeństwa mogłyby im grozić w obecnym stanie rzeczy.

Za pośrednictwem... *Now. Wremieni* (sic!) dowiadujemy się nareszcie, czy Dr. Kramář uważa Rusinów za narodowość odrębną, czy też za jeden z ludów rosyjskich:

Korespondent wiedeński *Now. Wremieni*, p. Janczewieckij, miał z Drem Kramářem interwiew, dotyczący stosunków galicyjskich i polsko-rosyjskich.

„Jestem żonaty z Rosyanką — mówił Dr. Kramář — i dlatego oczywiście muszę sympatyzować z Rosyanami. Co zaś do Polaków, to ich stosunek do Rosyan w Galicyi, według mego zdania, znajduje się w prostej zależności od stosunku Rosyan do Polaków w Polsce. Gdy znikną prześladowania Polaków w Polsce, wówczas — jestem przekonany — i Polacy zmienią swój stosunek do rosyjskich Haliczan“.

Na to korespondent odpowiada, że nie rozumie, o jakim ucisku Polaków można mówić, albowiem Polacy „zapełnili“ niektóre instytucye w Rosyi (czy i w Polsce?) tak dalece, że zaczęto mówić i pisać o polskiem niebezpieczeństwie grożącem Rosyi. Dr. Kramář na to:

„Nie sądzę, aby tacy Polacy w Rosyi, jak wice-minister spraw wewnętrznych Kryżanowskij (sic!) mogli przynieść jakikolwiek pożytek narodowi polskiemu. Lecz kto jest istotnie niebezpieczny dla całego narodu rosyjskiego, to galicyjscy ukraińcy. Kwestya polska jest kwestyą polityki kresowej dla Rosyi. Lecz t. zw. ukraińcy zamierzają zadać cios w samo serce narodowi rosyjskiemu i rozbić Rosyan na dwie części. Ruch ukraiński, w treści swej przeciwny naturze, antyrosyjski i dlatego antysłowiański, jest niebezpieczny nietylko dla Rosyan, lecz i dla Polaków, którzy dotąd go podtrzymywali... Wątpię, aby Rosya i Austrya kiedykolwiek rozpoczęły wojnę o Bałkany, ponieważ Bałkany dla Rosyi znajdują się raczej w dziedzinie polityki utopijnej. Obawiam się wszakże, że pomiędzy Rosyą i Austryą może wybuchnąć wojna o Galicyę, ponieważ tutaj powstaje niebezpieczne antyrosyjskie ognisko, którego zarzewie musi się przerzucić na południową Rosyę i wzniecić ferment i rewolucyę w samym narodzie rosyjskim. Dlatego też zawsze dziwiła mię niepomiernie obojętność i brak zainteresowania ze strony społeczeństwa wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa antyrosyjskiego, którego źródła szukać należy wewnątrz samego narodu rosyjskiego“.

„*Now. Wremia* ostatniemi czasy bardzo ostro występowało przeciwko mnie, głównie z powodu kwestyi polskiej — mówił Dr. Kramář. — Jestem przekonany, że ci Rosyanie, którzy głoszą jedynie walkę z Polakami, szkodzą Rosyi i jej interesom państwowym. Sądzę, że przyjacielskie porozumienie z Polakami może być tylko korzystne tak dla nas Czechów, jak i dla Rosyan“.

Jak dalece stosunki polsko-rosyjskie są terra incognita nawet dla wybitnych działaczy neosłowiańskich, jak np. Dr. Kramář, dowodzi jego posądzenie p. Kryżanowskiego o pochodzenie polskie. Oczywiście, jeżeli nawet takich Kryżanowskich i t. p. zechce ktoś uważać za Polaków, można prawić potem smalone duby o przepełnieniu Polakami instytucyj rządowych, jak to robią nowowremieńcy — nie dbając o to, że ci panowie, polskiem przygodnie obarczeni nazwiskiem, wcale Polakami nie są i że nie kto inny, jak p. Kryżanowski, przygotował akt z 3-go czerwca!

Dla nas interwiew ten ma wartość, gdyż od lata z 1909. staraliśmy się napróżno odgadnąć, co Dr. Kramář sądzi o kwestyi ruskiej. W zeszycie z sierpnia 1909. wykazaliśmy w artykule „Dr. Kramář na tle neoslawizmu“, co za niekonsekwencye i co za przeskoki logiczne mieszczą się w sądach czeskiego neoslawisty o stosunkach rusko-polskich. Czesi za przykładem swego przywódcy lubią sobie urządzać ekwilibrystykę polityczną ze zręcznej gry wyrazami: „ruský — rusinský — ukrainský“. Teraz, gdy Dr. Kramář zdecydował się nareszcie na jedno, uprawianie tej ekwilibrystyki w *Nar. Listach* powinnoby się skończyć.

Wiedeński korespondent *Russkiego Słowa,* p. Karawajew podaje rozmowę z pewnym dyplomatą, bliżej nie wymienionym, którego się pytał, jak daleko postąpiła sprawa porozumienia bałkańskiego. Dyplomata mówił, że między państwami bałkańskiemi a Turcyą i między Rosyą a Turcyą nastały obecnie o wiele lepsze stosunki, niż do niedawna, ale nie są jeszcze na tyle przyjaznymi, aby na miejsce dawnej nieprzyjaźni mógł nastąpić trwały związek z Turcyą na czele. Ale inaczej ma się rzecz z przymierzem ad hoc. Takie porozumienie ma na oku jedynie cele praktyczne. Będzie to bałkański związek z Turcyą, ale nie pod jej egidą; nie związek stały, ale chwilową potrzebą wywołany, który się natychmiast rozwiąże, gdy spełni swoje zadanie i nastąpi zmiana okoliczności. Taki związek nastanie zaraz, jak tylko które z państw bałkańskich będzie zaatakowane, a tym państwem nie będzie Turcya, lecz Serbia.

Tymczasem uprawia się ową ekwilibrystykę — o której wyżej — nadal w organie Dra Kramářa, dając zły przykład prasie **czeskiej.**

W *Narodnich Listach* spotkaliśmy się w Nrze 323. z dłuższym artykułem wstępnym na temat „polskich kłopotów“ (polské starosti).

Nominacyę ministrem dla Galicyi człowieka, który własną pracą dobył się stanowiska i nie ma nic wspólnego z interesami stanowymi szlacheckimi, uważają *Nar. Listy* za „zwrot, który stara szlachta polska w Galicyi może uważać sobie za pierwsze podzwonne“. Pierwsze — bo dotychczas teka ta szlachcie zawsze przypadała. „Nawet prof. Głąbiński, chociaż należał do stronnictwa narodowo-demokratycznego, był w istocie rzeczy tylko szlachcicem konserwatywnym, ponieważ jego stronnictwo wszechpolskie nie ma nic wspólnego z demokracyą“. Nie przypadkowym też tylko zbiegiem okoliczności został ludowiec Długosz ministrem równocześnie, kiedy nawiązują się pertraktacye z klubem „ukraińskim“.

„Minęły już na zawsze czasy, kiedy regimentarz Koła Polskiego był panem wszystkich polskich głosów w parlamencie“. Sejm jest jeszcze w ręku szlachty, ale i tam szturmują już żywioły demokratyczne, polskie i „rosyjskie“

(sic!), a na zwlekanie z reformą wyborczą odpowiadają od lat obstrukcyą. Teraz chodzi o pozyskanie głosów „Ukraińców“ dla projektu reformy Starzyńskiego, najmniej niebezpiecznego dla szlachty. Biliński obiecuje za to uniwersytet „małorosyjski“ gdzieś pod Karpatami — ale „Ukraińcy“ żądają grubszego okupu, a zwłaszcza odpowiedniej reprezentacyi w sejmie; ograniczają też układy do spraw podlegających kompetencyi sejmowej, podczas gdy uniwersytet może dać „Małorosyanom“ tylko parlament centralny. Sytuacya Polaków, zdaniem *„Nar. Listów“*, fatalna. „Bez zgody posłów małorosyjskich obydwóch obozów: starorosyjskiego i ukraińskiego, nie będzie reformy wyborczej“, — i pozostanie obstrukcya. Sejm niezdatny do prawomocnych uchwał nie ma dla Polaków wartości, a więc „muszą chcąc nie chcąc układać się dalej z Rosyanami“ (sic!).

Zmieniła się też na niekorzyść Polaków sytuacya w Wiedniu. Niepotrzebny już Austryi „polski Piemont“ na wypadek wojny z Rosyą. Wystąpiły też na pierwszy plan kwestye ekonomiczne, a rozwój ekonomiczny Galicyi przeciwny jest interesom prowincyj zachodnio-austryackich. Żądań ekonomicznych na wielką skalę nie mają atoli „Małorosyanie“ — a zarazem na miejsce „polskiego Piemontu“ wkracza zwycięsko idea „Piemontu ukraińskiego“. Zauważyć bowiem trzeba, że „Kongresówka jest już tak obrobiona przez kolonistów i agentów pruskich, że gdyby doszło kiedy do oderwania jej od Rosyi, nie dostanie się ona już nigdy Austryi, nie stanie się sekundogeniturą habsburską, jak marzyło się niektórym Polakom, lecz ocknie się wprost „w pruskim żołądku“. Tymczasem „Ukraińcy“ wskazują Wiedniowi „małorosyjską Rosyę południową“. Przeciwdziałać tym wpływom mogą Polacy „tradycyjną wiernością“ w Wiedniu, to jest „wysługując się każdemu rządowi“.

Na tem koniec artykułu. Jaki z tem wszystkiem ma związek nominacya Długosza na ministra — nie dowiadujemy się wcale.

Wyrażenia: „ukraiński — małorosyjski — rosyjski“ — zostawiono ściśle według oryginału. Czesi lubują się w tych bałamuctwach, które pozwalają im snuć dowolnie wnioski i na tę i ową stronę, tak iż zawsze się okaże, że — zawsze mieli racyę. Bo w razie potrzeby zmieni się w mig „Ukraińca“ na „Rosyanina“..

Jak już wiadomo naszym Czytelnikom, praski tygodnik *Přehled* stał się, dzięki artykułom Dra Konecznego i tłumaczeniu broszury Piltza: „Polityka rosyjska w Polsce“, jakby organem do politycznego badania stosunków czesko-polskich na podstawie rozumowej, a nie frazesowej — a więc metodą dla Czechów w polityce niezwykłą. Zabrał właśnie w *Přehledzie* głos, powołując się na Piltza i Konecznego, profesor uniwersytetu czeskiego w Pradze, Dr. F. Mareš, do niedawna jeden z „moskalofilów“. Wywody jego, bardzo pouczające, stanowią rewolucyę w pojęciach czeskich i dla tego podajemy je dosłownie:

„Dwa polskie głosy domagają się u nas posłuchu, ażeby wysłuchać i rozważyć, jaki jest stosunek Rosyi do Polski, który właśnie Czesi usiłują załagodzić, jakie są wyniki neoslawizmu i jak jedynie solidarność polsko-czeska może stać się początkiem urzeczywistnienia idei słowiańskiej. Feliks Koneczny oświetlił te sprawy wyraźnie; Erazm Piltz wykazał, jak nikłą jest nadzieja załatwienia sporu rosyjsko-pol-

skiego i jaka to daremna robota, żeby budować na tej nadziei prace neoslawizmu.

„Oba te głosy poruszyły mną tak, że nie mogę pozostać na nie głuchy i nie nawoływać wszystkich Czechów, ażeby je wysłuchali i zastanowili się nad tem, czy mamy dalej bez wiary w pomyślność sprawy imać się zadań nie mogących się urzeczywistnić nigdy, czy też jąć się nareszcie dzieła złożonego w nasze ręce. A mam ja i pewne prawo zabrać głos w tej sprawie słowiańskiej. W r. 1908., na uroczystości zjazdu lekarzy i przyrodników w Pradze, wśród zgody obecnych Słowian, przedewszystkiem Polaków, ogłosiłem jako cel Słowiańszczyzny: kulturę sprawiedliwości. Powinienem więc przyłożyć ręki do spełnienia tego zadania. Sprawiedliwość broni od krzywdy według zasady: nie czyń drugiemu, co tobie nie miło; jest rzeczą niegodną człowieka powiększać własną moc cudzą krzywdą. To jest sprawiedliwość dobrej woli. Istnieje również sprawiedliwość siły, która karze i odpłaca za winy popełnione przeciwko tej sile: sprawiedliwość zemsty. Ale sprawiedliwość zemsty nie jest płodem kultury, tylko pierwotnym popędem natury; chwastem, który trzeba kulturą wyplenić. Jak każda siła brutalna, sprawiedliwość zemsty jest słabą, bo zawsze znajdzie się ktoś silniejszy, który wykona swoją sprawiedliwość. Sprawiedliwość dobrej woli jest niezwyciężalną.

„Dotychczas w Słowiańszczyźnie panoszy się sprawiedliwość zemsty. Rosyjska przemoc zionie taką sprawiedliwością względem Polaków, za tę winę, że oni oparli się tej przemocy. Usiłuje nawet zgładzić ten dziarski naród, wsławiony w historyi, to plemię słowiańskie, szczepione szlachetnie od tysiąca lat, nam Czechom najbliższe, z którem szukamy połączenia od czasów Bolesławów. Przemoc rosyjska zionie przyrodzonym popędem zemsty, jaki całkiem naturalnie porywa naturę grubszą przeciw kulturze subtelniejszej. O tem świadczą milcząc fakta, przedłożone przez Piltza Rosyanom, a którym oni wcale nie przeczą. A wszakże posiadamy już co do tego wymowne świadectwa naocznych czeskich świadków, których dotychczas jednak lekceważyliśmy, biorąc to za jakiś romantyzm. Mniemaliśmy, że nasz ucisk jest najcięższy, boć zawsze ból własny najboleśniejszy każdemu. Edward Jelinek, ostatni u nas polski orędownik, wydał w r. 1887. własnym nakładem broszurę p. t. „Pro shodu česko-polskou“, gdzie przedstawił z opłakanymi szczegółami stosunki polsko-rosyjskie i surowo ganił zatwardziałość naszą wobec tych stosunków. Rozprawa ta jednak przeszła bez echa, popadła w zapomnienie. Obcowałem w owych czasach z Jelinkiem codziennie; ofiarował mi swą pracę do „łaskawego rozważenia“ — a ja ją nie rozważałem nic, będąc, jak wszyscy niemal Czesi, uprzedzony na korzyść Rosyi.

„Uprzedzenia rusofilskie bronią nam Czechom wejrzeć jasno w stosunki rosyjsko-polskie, owe uprzedzenia, które zrosły się z nami od naszego odrodzenia. Czescy budziciele położyli całą nadzieję w Rosyi, sądząc, że ona obroni nas przed zalewem niemieckim. Strach przed olbrzymem niemieckim zapędza nas po obronę do olbrzyma rosyjskiego; a tymczasem oba olbrzymy jednako zjadają dzieci. Może przecież nareszcie

wyrośniemy z tego dzieciństwa. Od czasów wojny siedmioletniej rosyjska siła państwowa wysługuje się królowi pruskiemu; zostawiłaby mu i całą koronę czeską, nie mając tu własnych interesów. Rosyanie korzą się przed duchem niemieckim.

„Przypomnijmy sobie tylko, jaką lekcyę przed dwudziestu laty dał nam profesor Łamanskij. Naturalna pycha mocnego nie pozwala mu przyznać samoistnych praw słabym i bezsilnym. To też Rosyanie rozumieli Słowiańszczyznę zawsze tylko jako podporządkowaną sobie, a bieżący rok dostarczył nam nowych świadectw, że będą ją zawsze tak pojmować. „Iluż to ludzi śniło u nas o wielkiej i potężnej Rosyi, słowiańskiej warowni, o którąby rozbiła się nawałą wrogów, a tymczasem ten ogromny kolos rosyjski ma wnętrze stoczone przez policyjno-biurokratyczne robactwo... Prusy były też absolutne, ale rosły poszanowaniem prawa... W Rosyi tego nie było“. Tak czytamy teraz w *Narodnich Listach*, na które niegdyś bardzo skarżył się ś. p. Jelinek, że dla przypodobania się Rosyi zachowywały się niesprawiedliwie względem Polaków.

„Niebezpieczeństwo niemieckie nie grozi nam już tak dalece, byśmy potrzebowali przed niem ochrony od Rosyi. Dopóki istnieje Austrya, silna i potężna, nie musimy się bać, Niemcy austryaccy bowiem sami nam już nie straszni. Przeciwko Austryi stajemy stale w opozycyi o to, że dzięki przestarzałemu zastojowi urządzeń i oporowi Niemców, nie dość prędko dostaje się nam sprawiedliwość.

„Ale któż, jak nie narody same, ma przetworzyć Austryę na państwo dla wszystkich narodów równo sprawiedliwe? W tem mogą i chcą dopomódz nam Polacy, którzy nareszcie, po tylu usiłowaniach dziejowych, zostali losem połączeni z nami w jednem państwie. Tutaj, w prawnych granicach państwowych, możliwą jest polityka słowiańska, a nawet i polityka zagraniczna, której potrzebę wykazywał na łamach tego tygodnika V. J. Hauner.

„Ta polityka powinna starać się dla wspólnych korzyści wzmocnić Austryę.

„Na potężnej Austryi musi nam zależeć nie mniej, jak Polakom, którzy znaleźli w niej ostoję. I w tem mamy z nimi wspólny żywotny interes. Wyjaśnienie naszego stosunku do Austryi zapobiegnie nareszcie tak bardzo szkodliwym dla nas plotkom i oszczerstwom. Niemcy w Austryi okazali się jawnie niezdolnymi, żeby „utrzymywać“ to państwo, co dawało im pochop do roszczeń do uprzywilejowanego w niem stanowiska, a dzisiaj jest już rzeczą nieuchronną, że do zadania tego muszą dopuścić prócz Polaków także i Czechów.

„Niebezpieczeństwo niemieckie grozi nam tylko w wypadku, gdyby się „Austrya rozpadła“, a ziemie czeskie byłyby w całości zabrane przez króla pruskiego. Czy można spodziewać się, że Rosya temu przeszkodzi? Ta sama Rosya, grożąca rozprawić się kiedyś z Austryą? Ta sama Rosya, której władza państwowa spoczywa w ręku Niemców? Chyba Rosya odrodzona, w której miałby głos dojrzały kulturalnie naród rosyjski. Ale w danych stosunkach, nie sposób nam czekać i budować na takiem odrodzeniu. Inne narody mają interes w zachowaniu Austryi przed Niemcami, u nich też szukaliśmy i znajdujemy więcej zrozumienia dla na-

szego położenia: we Francyi i Anglii. I w tem miejscu schodzą się znów nasze interesy z interesami Polaków.

„Porozumieniu czesko-polskiemu przeszkadza zobopólne nieporozumienie. Nieraz nam się wydaje, że Polacy austryaccy są Czechom niewierni, ponieważ łączą się z Niemcami, często i przeciwko nam. Ale Polacy austryaccy trzymają się tego państwa bez względu na okoliczności, podczas gdy my stajemy w opozycyi do rządu dla spraw wewnętrznych, często podrzędnego znaczenia. Polaków zaś zraża do nas rzecz o wiele ważniejsza: nieustanny tuman rosyjski.

„Czeskie przychlebianie się Rosyi, świadczące o czeskiej obojętności dla polskich cierpień, musi rozgoryczać Polaków, którzy aż nadto znają miłość rosyjską. Czesi stale grają rolę polsko-rosyjskich rozjemców, przy czem jakoby jeszcze dawali winę Polakom, że oporem swym przeszkadzają wzajemności słowiańskiej. W r. 1867, gdy Polska krwawiła jeszcze ranami ostatniego powstania, Czesi jechali do Moskwy i tam dr. Rieger mówił: Z żalem widzę, że w tem braterskiem kole wszystkich Słowian, tylko jedni Polacy chcieli (!) zostać na stronie... sądzę atoli, że czyn tak rażący, nie może być bez przyczyny... Sądzę, że oto nadeszła chwila, w której miłość braterska powinna objawić się czynem, i że zwycięzca powinien rzec wspaniałomyślnie swojemu bratu: pokonałem cię, jesteś zupełnie w mej mocy... ale ja jestem sprawiedliwym i chcę okazać ci się bratem...“ Mowę tą przerwały głośnesykania i objawy niezadowolenia z wybitnej strony rosyjskiej. A kniaź Czerkawskij, jak na prawego czynownika rosyjskiego przystało, zgromił słowa Riegra... I od tej chwili już nikt nie dotykał kwestyi polskiej. Tak opowiada Jelinek.

„Czeskie rozjemcze zakusy wznowiono w neoslawizmie, wysuwając znów na pierwszy plan kwestyę polsko-rosyjską. Z jakim wynikiem, przedstawił jasno Feliks Koneczny w roztrząsaniu losów neoslawizmu (*Přehled*, r. X. l. 2). Tym razem rosyjski czynownik już nas nie zgromił, ale cały neoslawizm odsunął na bok. Może się nareszcie zrozumiemy, że dopóki trwa ta władza rosyjsko-państwowa, która umie tylko karać, (a jakże, „surowo karać“, słowa Aleksandra II. do Polaków), dopóki naród rosyjski nie odrodzi się w sprawiedliwości dobrej woli i nie zmusi swego rządu do poszanowania prawa, dopóty nie może być mowy o pogodzeniu się Polski z Rosyą.

„Nam, Czechom, nie miłe to, gdy Rosyanin dziwi się naszemu sporowi z Niemcami; ale zważywszy spór rosyjsko-polski, on ma prawo dziwić się. Boć pogrom na czeski naród nie od Niemców spadł, lecz od mocy antikulturalnych, które wykonały nad nami karzącą sprawiedliwość zemsty. Odrodzenie nasze opierało się o niemiecką kulturę i sami Niemcy pomagali nam z początku. Czeski spór z Niemcami ma cechę wyłącznie polityczno-narodową, gdy tymczasem w sporze polsko-rosyjskim leży krwawe prześladowanie.

„Cóż należy nam czynić? Oto zabrać się do polityki słowiańskiej takiej, jaka jest w zakresie naszej możności. A więc przedewszystkiem, — jak długo będziemy wspólnie pozostawać pod berłem austryackiem, — solidarność z narodem polskim. Solidarność wierna, bez zastrzeżeń, ażeby na pewno można było nawzajem na siebie liczyć. Solidarność mocna, dla

wspólnego wielkiego celu, żeby nią małostki zachwiać nie mogły. Nie czuję się powołany do urzeczywistnienia tej idei, a zresztą jeszcze nie czas po temu. Wpierw jeszcze myśl solidarności z Polakami — przedewszystkiem na gruncie prawnym austryackim — musi się tak silnie wkorzenić w mózgi czeskie, jak wkorzeniła się u mnie; musi się pierwej u nas rozszerzyć przekonanie, że powinniśmy politykę słowiańską uprawiać z temi narodami słowiańskiemi, które jej potrzebują na równi z nami, a to bez względu na Rosyę, która takiej polityki nie może potrzebować. Nie jestem uczuciowym przyjacielem Polaków; osobiste me stosunki bywały z nimi dość twarde. Ale namysł doprowadził mię do przekonania, że inaczej wszelka czeska praca polityczna pójdzie stale na marne. Pragnąłbym, ażeby to przeświadczenie szerzyło się wśród nas; do tego trzeba najpierw, żebyśmy przystąpili do żwawej polemiki o nie". — (podpisano):

Dr. F. Mareš

profesor Uniwersytetu czeskiego.

Ale ta polemika, która się pojawiła w *Nar. Listach*, jest dla prof. Mareša i dla nas bez wartości. Zabrał tam głos w Nr. 317. p. Karol Fajfr, i w długim artykule wywodzi, dlaczego Czesi powinni sympatyzować z Rosyą, i nie mogą hołdować „jednostronnemu" polonofilstwu. Zachodzi tu grube nieporozumienie. A niechajże sobie każdy „sympatyzuje" z kim mu się żywnie podoba (bo to rzecz gustu i nerwów), ale byłoby dobrze, żeby ludzie kierujący się swemi sympatyami i antypatyami przestali się już raz nareszcie zajmować polityką. Cały artykuł p. Fajra służy tylko za dowód, że autor nie umie myśleć politycznie. Jeżeli chce bronić „rusofilstwa" przeciw polonofilstwu, niech nam powie, jakich korzyści politycznych spodziewa się z nad Newy dla „priwełtawskawo kraja"; wtenczas będziemy z nim dyskutowali.

Artykuł p. Fajfra opatrzyła redakcya *Nar. Listów* następującym przypiskiem:

„Redakcya *Nar. Listów* ogłasza chętnie rozprawkę, nadesłaną sobie, chociaż nie identyfikuje się z nią we wszystkiem, dla ogólnego zajęcia się sprawą i stałej aktualności tematu i wywodów Szan. autora. Nasze stanowisko w sprawie stosunku do Polaków wynika samo przez się z naszego programu neoslawizmu. Chcemy być dobrze z Polakami i bronić ich, gdyż bywają uciskani, co wypływa z poczucia słowiańskiego u Czechów. Ale niesposób, żebyśmy przez Polaków dali się ograniczać w swych sympatyach względem Rosyan, bo według naszych zapatrywań jednakowo błędem jest jednostronne polonofilstwo, jak błędem byłby jednostronny rusofilizm".

Mówią, jak wyrocznia: politycznie nikt tego nie zrozumie, bo to politycznie nie znaczy nic a nic! To są frazesy. Konkurs na obmyślenie formuły algebraicznej, którąby zadowoliła Rosyan i Polaków? i drugi konkurs na definicyę „poczucia słowiańskiego"?! My nie staniemy do tego konkursu na ćwiczenia stylistyczne. Nas zajmuje co innego:

Czy Czesi i Polacy mogą sobie wzajemnie dopomóc, żeby Prusak w przymierzu z Rosyą i Węgrami nie rozbił Austryi, poczem i Warszawa i Praga miałyby wspólne „brandenburskie czasy"? Być może, że w Galicyi wschodniej byłby wtenczas język rosyjski urzędowym (o co p. Kramář

obiecuje upomnieć sie w delegacyach), ale stanowczo tylko kosztem równoczesnego wydania Czech na łup prusactwa. Dziwna rzecz, że kwestya ta Czechów nic a nic nie interesuje!

Spór **słowacki**, ciągnący się od dwu miesięcy, jeszcze nie ustał, ale tętno jego znacznie już osłabło. Zasób osobistych inwektyw wyczerpano w zupełności, a przeżuwanie i nicowanie jednego i tego samego sprzykrzyło się obu stronom. Cięgi padają przedewszystkiem pod adresem ks. Tomanka, redaktora *Slovenskych Ludovych Novin*, atutem zaś w ręku luteranów jest świeża jego suspenza z powodu życia niemoralnego, jak głosi pogłoska, a według okólnika dyecezyalnego z tej przyczyny, że pomimo kilkakrotnego wezwania nie wykazał się przed konsystorzem, do której dyecezyi należy, oraz czy ma od swego biskupa spiskiego pozwolenie przebywania w dyecezyi ostrzyhomskiej.

Na prośbę ks. Jurigi, wystosowaną do prasy, aby wstrzymała nareszcie wzajemne ataki, odpowiedział *Slovensky Dennik* (nr. 17), że z wielką niechęcią wywlekał w sporze różne nieprzyjemne sprawy, ale gotów z radością o wszystkiem zapomnieć, jeśli tylko redakcya *Slovenskych Lud. Novin* oczyści się z ludzi skompromitowanych. Spodziewać się można, że rychło to nastąpi, gdyż spółka nakładowa z ks. Hlinką na czele, wydająca *Ludove Noviny*, jest nieprzychylnie usposobioną dla redaktora Tomanka, ale nie można się łudzić, żeby to jednem cięciem spór zakończyło. W tym samym bowiem artykule, powyżej przytoczonym, *Slovensky Tyždennik* zaznaczył, że walkę prowadzi nie przeciw osobom, lecz o zasady („principy").

Na tem samem stanowisku stoi i druga strona, katolicka, a wobec takiego usposobienia luteranów i katolików, należących dotychczas razem do stronnictwa narodowego, łatwo może przyjść do utworzenia nowych partyj. Pierwsze zapowiedzi tego już się pojawiły.

Oto *Slovenske Ludove Noviny*, zaraz po zamknięciu obrad narodowej partyi, oświadczyły (nr. 43), że wyrokowi stronnictwa się nie poddają, uważając go za stronniczy i niesprawiedliwy, a wywody swoje zakończyły następującemi słowami: Zwołujemy naradę naszych, niechaj się rozstrzygnie, czy mamy apelować do sprawiedliwszego sądu, czy też ich wyrok puścić w niepamięć i samodzielnie zorganizować naszą słowacką ludową partyę, przez nas utworzoną, która zawsze na Słowaczyźnie stała obok narodowej partyi, jako równouprawniona siostra, a nawet przy ostatnich wyborach więcej dokazała, gdyż wszyscy trzej posłowie słowaccy zostali właściwie wybrani na podstawie jej programu, którego najgłówniejszym wytycznym punktem obok celów narodowych i haseł powszechnego głosowania jest: obrona religii.

Była to niejako odpowiedź niezadowolonego obozu katolickiego na uchwałę w sprawie Hlinki, narodowej partyi, w której przewagę mają luteranie. W ciekawy komentarz zaopatrzył ją *Slovensky Dennik* w artykule: Slovenska ludova strana (nr. 206): więc zanosi się na Słowaczyźnie na utworzenie politycznego stronnictwa na wzór madiarskiego ludowego albo morawskiego klerykalnego. Hlinka i Tomanek nie są zadowoleni z tego, że narodowa narada uznała tolerancyę religijną i filozoficznych poglądów,

o ile tylko pozostają w służbie narodu. Ta cząstka kleru katolickiego chce tedy wybudować sobie swój dom, ażeby nie musiała razem obcować z ludźmi innego poglądu na świat lub wyznania. Usiłowaniom tym, jakkolwiek wydają się na oko dla sprawy słowackiej niebezpiecznemi, nie opieramy się, ale też i nie cieszymy się. Gdyby dążność do utworzenia tak zw. klerykalnej partyi słowackiej wypływała z czystego przeświadczenia i woli: na tem podłożu wysunąć sprawę słowacką na czoło, wtedy zadowoleni bylibyśmy z utworzenia nowej partyi. Lecz nie cieszymy się z pracy *Ludovych Novin*, gdyż jesteśmy przekonani, że nie idealizm, nie religijna gorliwość, nie tęsknota za czystem, ascetycznem życiem, ale żądza władzy, nietolerancya, niestałość przekonań, jest przyczyną organizowania nowego stronnictwa. Słusznie więc obawiamy się, że nowa partya będzie wywoływać religijne sprzeczki, że będzie budzić w nieuświadomionych masach chuć religijnej niezgody. Tylko z tej przyczyny wypływa nasza obawa. Inaczej cieszylibyśmy się z nowego uwarstwowania, gdyż powstawanie stronnictw nie jest oznaką narodowego upadku, jak to niektórzy wystraszeni ludzie myślą. N. p. zdrowej i pod dobrym kierunkiem zostającej partyi małorolników na Słowaczyźnie, zwłaszcza na zachodzie, już od kilku lat oczekujemy z upragnieniem.

Tem wystąpieniem ludzi, grupujących się koło *Lud. Novin*, powaga stronnictwa narodowego została znacznie podważona. Wprawdzie ośmieszyło się ono jeszcze przedtem chwiejnem i niezdecydowanem stanowiskiem w polityce ostatniej doby, kiedy to członkowie jego zupełnie stracili oryentacyę i szli ręka w rękę z rządem, ale teraz dopiero sporem niezałagodzonym w swem własnem łonie osłabiło się na dobre.

Slovensky Dennik w artykule: Teorya a praktyka (nr. 212), ogłosił smutne refleksye o współczesnem położeniu narodu, dopatrując się głównej winy w inteligencyi, nie ożywionej duchem obywatelskim i nie pracującej nad uświadomieniem ludu, idącego ślepo na lep przekupujących madiarskich polityków.

Wielka część inteligencyi — czytamy tam — jest leniwa, niedbała, nieruchoma... Co się redaktorzy *Dennika* i *Tyždennika* napisali o czeskich gospodarskich, rzemieślniczych i handlowych szkołach, a nasi inteligenci pięknie przeczytali artykuliki, ale oprócz trzech, czterech ludzi na całej Słowaczyźnie nikt nie przełożył nawet na krzyż słomki. Gdyby nie było dr. Blahy, to cała myśl przepadłaby, pomimo że w Martinie i Liptowie uznano znaczenie tego środowiska wychowawczego dla naszej młodzieży. Podobnie mają się sprawy i z temi zgromadzeniami za powszechnem prawem wyborczem. Każdy czeka, aż sąsiad zacznie. Nasi ludzie we wszystkiem zwalają na redaktorów i posłów, jednakże i ci są tylko ludźmi i wszystkiego zrobić nie mogą. Mało inicyatywy, mało wytrwałości, mało zamiłowania do pracy, mało poświęcenia jest między nami. Tak, jednostki pracują, są niektórzy, co po prostu dokonują podziwu godnych czynów, ale tych jest mało, większość nic nie robi. Wielu nie wie nawet, jak się powinno pracować na polu społecznem i gospodarskiem. Do niedawna mieliśmy o narodowej pracy zupełnie inne przekonania, jak teraz. Starsi ludzie nie umią się nagiąć do nowych poglądów, a młodzi często nie mają sposobności nauczenia się społecznej i ekonomicznej pracy. W tem właśnie tkwi jądro

słowackiej kwestyi. Nasza narodowa przyszłość jest zawisłą od intenzywności rozmnażania się inteligencyi, a temsamem energicznych i statecznych działaczy na polu publicznem. Takiej inteligencyi nie wychowa nam madiarska szkoła, jest to nawet powszechnie na Słowaczyźnie przyjęty pogląd. Tylko czeskie średnie, wyższe i zawodowe szkoły mogą pchnąć naszą sprawę naprzód. Przeto nie kładziemy na razie żadnego nacisku na politykę czysto parlamentarną, natomiast wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli ku najintenzywniejszej pracy ekonomicznej i wychowawczej.

ek.

Jak wiadomo, sejm **chorwacki**, zwołany na jeden dzień, został natychmiast rozwiązany, odmówił bowiem poparcia banowi Drowi Tomašićowi; obecnie więc Chorwacya pozostaje znowu pod znakiem wyborów. Sytuacya nie o wiele się przez to zmieniła; wszystkie stronnictwa opozycyjne połączyły się przeciw próbom bana, żeby wskrzesić stronnictwo madiarońskie. Rząd stara się usilnie i wszelkiemi środkami, wcale nie konstytucyjnemi, przeprowadzić swoich kandydatów. Przedewszystkiem dba o prowincyę i zwraca się (zresztą już nie po raz pierwszy) przeciwko twórcy i przywódcy stronnictwa ludowego w Chorwacyi, które posiadało obecnie już 9-ciu posłów, Stjepanowi Radićowi. Zdaje się bowiem rządowi, że z chwilą, kiedy Radića nie stanie, stronnictwo się rozpadnie.

Według organu Radića, *Dom*, posłał ban do niego jeszcze przed rozwiązaniem sejmu kogoś ze swoich zaufanych z propozycyą, żeby wyjechał na pół roku do Francyi, Włoch lub nawet Ameryki, za „zwrotem kosztów" i wszelkiem „odszkodowaniem" za poniesione straty. Jeżeli na to nie przystanie, w takim razie będzie się z nim postępowało bezwzględnie, tak, żeby bezwarunkowo posłem ponownie nie mógł zostać (to znaczy, że będzie się go więziło). Jak dotychczas, niema zaprzeczenia urzędowego tej wiadomości, podanej wyraźnie w *Domie*, a zresztą władze poczyniły już pierwsze kroki przeciw „niebezpiecznemu" dla siebie i niewygodnemu Radićowi, który na ostatniem jeszcze posiedzeniu sejmu chorwackiego zawołał: „Da Bóg, że tu nie będzie wkońcu ani jednego madiarona!"

Tymczasem Radić przepadł bez wieści, nie wiadomo, gdzie się obraca, zmuszony bowiem jest ukrywać się przed policyą madiarską. Kilka dni temu wieczorem zjawili się w jego mieszkaniu (w Zagrzebiu) żandarmi, jego jednak w domu nie było; przystąpiono do rewizyi, ta jednak nie doprowadziła do wyniku, jakiegoby sobie życzył rząd bana Tomašića. Aby zaś Radić nie uszedł, ustawiono detektywów przed jego domem, którzy od kilku dni ustawicznie się luzują. Dotychczas jednakże nie powrócił, a mimo usilnych poszukiwań po mieście również go nie znaleziono. Jaki cel ma nasłanie żandarmów, łatwo się domyślać; toteż panuje powszechne zdziwienie i oburzenie, nietylko w prasie chorwackiej i serbskiej, ale i czeskiej i słowackiej. Radić jednak do podobnych igier z policyą madiarską przyzwyczajony, wykryć się łatwo nie da.

Zachowanie się rządu wobec Radića zaczyna przypominać historyę ruchu ludowego w Galicyi i ks. Stojałowskiego.

Recenzye i sprawozdania.

Edmund Kołodziejczyk. *Bibliografia słowianoznawstwa polskiego.* Kraków 1911, nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej polskiej — lex. 8-o, str. XX, 303. (cena 4. Korony)

Oto książka, z której może być dumne słowianofilstwo polskie, stojące nie frazesami, nie schlebianiem na przemiany w prawo i w lewo, nie ideologią paradną a jałową — lecz znawstwem i pracą.

Bibliografia — robota żmudna i jak się powszechnie sądzi, dobra w sam raz dla „zasuszonych ludzi"; a tu autorem jej jest jeden z najmłodszych współpracowników *Świata słowiańskiego!* „Ale nie żałuję podjęcia jej i czasu nad nią spędzonego, chociaż poświęciłem na jej wykonanie najpiękniejsze dni wiosny życia, z zaparciem siebie i potrzeb swego ducha, z gorącym zapałem młodzieńczym. Oby tylko choć w małej cząstce stała się ogniwem twórczem w budowie wiedzy o Słowiańszczyźnie" — pisze sam autor w przedmowie. Nie strzela górnolotnemi frazesami, mówi tylko o „wiedzy o Słowiańszczyźnie", zdając sobie sprawę, że wiedza musi być fundamentem słowianofilstwa, które chce być czemś więcej, niż deklamatorstwem. A skoro tą roztropną świadomością przejęta jest i młodzież naszego ruchu słowianofilskiego, możemy śmiało patrzeć w przyszłość, bezpieczni, że słowianofilstwo polskie zajmie to stanowisko przewodnie, na które... pracuje.

Bibliografia słowianoznawstwa polskiego zawiera w tem pierwszem, (a zatem oczywiście niekompletnem, bo inaczej być nie może) wydaniu, numerów 4893; numery są zaś po większej części zbiorowe, tak, że gdyby nie to, byłoby ich przynajmniej trzy razy tyle. Obejmuje zaś bibliografia tylko XIX. stulecie i kilka lat nowego wieku, czasy lat 1800—1908. Zważywszy, czego zażyliśmy w dziejach porozbiorowych i jak pobratymcy nasi lubowali się w zwracaniu idei słowiańskiej przeciwko nam, jak nic a nic nie zachęcało nas do zajmowania się sprawami słowiańskiemi, wypadnie uznać wyniki pracy p. Kołodziejczyka za zdumiewająco rozległe i obszerne. Okazuje się, że roboty dla słowianoznawstwa było u nas więcej, niż wśród najkrzykliwszych! Zatrważającą doprawdy jest ignorancya tych z pośród pobratymczych „działaczy" słowianofilskich, którzy wyrażają się o Polakach, jako o „rekrutach" w dziedzinie idei słowiańskiej. O nie! myśmy o dużo wcześniej dla tej idei pracowali, niż wy nauczyliście się o niej deklamować.

Weźmy dla przykładu dział tyczący się narodu najbardziej od nas oddalonego i z którym najmniej miewaliśmy stosunków, dział bułgarski. Zawiera on jednak 133 numerów (czeski liczy ich 792), z których najstarszy chronologicznie (2327) pochodzi z roku 1821. Czy w Czechach lub w Rosyi zajmowano się wtedy Bułgarami? Najstarszy tytuł tyczący Łużyczan (1619 i 1630) pochodzi z roku 1824; Słowaków zaś (1465) z r. 1819-go. I tak „Bibliografia słowianoznawstwa" poucza o wielu rzeczach i stosunkach, prostuje pośrednio wiele mylnych sądów. Miłośnicy prawdy obiorą sobie tę książkę za stałego przewodnika i towarzysza.

Studyujący zawodowo sprawy słowiańskie nie obejdą się bez książki p. Kołodziejczyka. Uwzględnienie jej, poradzenie się jej i ciągłe do niej zaglądanie stanowi odtąd pierwszy obowiązek, a zarazem prostą regułę ostrożności dla każdego pisarza z zakresu słowianoznawstwa. Umiejętne używanie takiego vademecum może oddać nieocenione usługi. Ani też wątpić, że doda ta praca niejednemu bodźca i stanie się nieraz źródłem inicyatywy. Stwierdzono to już doświadczeniem, że ogłoszenie specyalnej bibliografii staje się zawsze punktem wyjścia dla nowych, a coraz systematyczniejszych studyów, ożywia je i wzmacnia, bo ułatwiając je, ośmiela i zachęca. W tem trwałość nieginącej, lecz wiecznie odmładzającej się zasługi ze żmudnego ślęczenia nad materyałami bibliograficznemi — i tę zasługę posiędzie również p. Kołodziejczyk.

Praca ułożona jest nader starannie, z wszelką sumiennością, z dokładnością „szperacką“, budzącą często podziw. Po bliższem obeznaniu się z książką, ma się do niej zaufanie, a używa się jej tem chętniej, że jest ułożona dobrze, przejrzyście, praktycznie. Sam wykaz czasopism, z których autor czerpał, zajmuje 5 dużych stronnic petitu i stanowi zarazem cenny przyczynek do historyi prasy polskiej, bo znachodzimy tu tytuły czasopism, „wyszperanych“ widocznie przez autora Bibliografii. Bardzo dobre są indeksy: rzeczowy („Spis ważniejszych przedmiotów“), umieszczony na początku książki (str. XVI—XX) i osobowy („Spis osób i autorów“) na końcu (str. 261—301), którego obszerność (41 str. druku!) świadczy wymownie, jak znaczną jest objętość tego polskiego słowianoznawstwa, które on rejestruje.

Sama bibliografia dzieli się u p. Kołodziejczyka na cztery działy z poddziałami, a mianowicie:

I. A. Słowiańszczyzna wogóle
   B. Słowianofilstwo polskie
II. Słowiańszczyzna zachodnia
   A. Czesi
   B. Słowacy
   C. Łużyczanie
III. Słowiańszczyzna południowa
   1. Słowieńcy
   2. Serbo-Chorwaci
      A. Chorwacya, Slawonia, Dalmacya
      B. Bośnia i Hercegowina
      C. Serbia
      D. Czarnogóra
   3. Bułgarzy
IV. Słowiańszczyzna wschodnia
   A. Rosyanie
   B. Rusini
   C. Białorusini.

W obrębie bibliografii tyczącej się danego narodu panuje zaś pewien stały schemat, rozwinięty np. w dziale rosyjskim w następujący sposób:

Ogólne — Etnografia — Geografia — Historya — Historya literatury (czasem osobno: Czasopisma — Poszczególne sylwetki pisarzy alfabety-

cznie według osób, o których pisano) — Literatura (Przekłady — osobno anonimowe, gdzie ich znaczniejsza ilość) — Lingwistyka — Prawo — Religia i Kościół — Sprawy polityczne — Sprawy ekonomiczne i społeczne — Sztuki piękne — Korespondencye — Varia.

Taki jest ogólny zarys książki, z którą wejdzie w ścisłą znajomość i zażyłość każdy uprawiający niwę słowianofilstwa, a która ma nadto tę wartość, że stanowi w ręku Polaka dokument legitymacyjny do... pierwszeństwa w słowianofilstwie. *F. K.*

Polenlieder deutscher Dichter, gesammelt und herausgegeben von **St. Leonnard.** I. Band: Der Novemberaufstand in den Polenliedern deutscher Dichter. Krakau-Podgórze. Verlag von J. Piasecki. In Kommission bei W. Poturalski, 1911. 8-ka nm. str. XVI. 326, kt. nlb. 1.

Jakżeż niewesołe refleksye nasuwa każda niemal karta wymienionego dzieła, w którem zebrano wybuchy polonofilskie długiego szeregu poetów niemieckich, wybuchy, tchnące takiem umiłowaniem wolności i sprawy polskiej w szczególności, że chwilami niepodobna ochłonąć z wrażenia, iż poezye te wyszły istotnie z wyżyn Parnasu niemieckiego, a nie są parafrazami naszych pieśni patryotycznych.

„Lebewohl, Polonia!
Nimm die Lieder, welche schliefen
In der Seele tiefsten Tiefen!
Nimm den Abschiedsklang der Musen
Aus bewegtem Dichterbusen!“

I mimowoli nasuwa się na myśl spostrzeżenie arcysmutne co do ogromu spustoszenia, jaki uczyniła deprawacya moralna w ciągu kilku dziesiątków lat w samym rdzeniu duszy niemieckiej, skoro doszło do tego, że poeta Rosegger dał hasło do walki ostatecznej z żywiołem polskim, a to za pomocą środków, nie mających bodaj cienia pozoru walki kulturalnej!

W samą porę przypomina tedy omawiana książka nastrój, panujący w Niemczech dla sprawy polskiej od pierwszych chwil powstania listopadowego. Zastęp przyjaciół Polski zwiększał się z dnia na dzień, a we wszystkich krajach Europy zachodniej roiło się wprost od poetów polonofilskich. Wszelkie usiłowania rządów, zmierzających do uciszenia tych głosów, pozostały bez skutku. Z natężoną uwagą przypatrywano się dziewięciomiesięcznemu zmaganiu się słabszych z olbrzymem rosyjskim. Każde zwycięstwo „białego orła“ wywoływało entuzyazm; każda klęska — smutek. Po upadku powstania nawet rozlegał się w całych Niemczech śpiew „Noch ist Polen nicht verloren!...“ We wszystkich krajach europejskich, w których ludy uginały się pod brzemieniem absolutyzmu i z utęsknieniem wyczekiwały lepszej przyszłości, współczucie dla nieszczęśliwego końca walki o niepodległość Polski było powszechne, gdyż walka Polaków była uważana za bój uciśnionych z ciemięzcami. To też nie tylko poeci imali się pióra, ale nawet najprozaiczniejsi ludzie stawali się poetami dzięki bojom wolnościowym, gdyż ideały polskie uważali za swoje. Węgry, Włochy, Szwecya, Szwajcarya, Austrya, Anglia — przedewszystkiem zaś Francya i Niemcy głosiły w rymach chwałę oręża polskiego.

Z pomiędzy tych wszystkich krajów i narodów — zarówno pod względem wartości poetyckiej utworów, jak też ich ilości, prym dzierżą Niemcy i to w tak wysokim stopniu, że ilość niemieckich utworów polonofilskich nie jest bynajmniej szczupiejsza od oryginalnych, współczesnych poezyi polskich. Wiele z tych pieśni śpiewano lata długie w Niemczech, a nawet pewną ich część drukowano w rozlicznych śpiewnikach. Kiedy zaś w latach: 1846 i 1863 kwestya polska odżyła znowu, pieśni rozbrzmiały jeszcze rozgłośniej przypomnieniem dawnych dziejów. Nic dziwnego w tem, że wobec nadzwyczajnej obfitości pieśni polonofilskich, spora ich liczba uległa z biegiem lat zapomnieniu. Zwykła to kolej nawet najpopularniejszych i najbardziej wziętych śpiewek.

Pierwszym, który zamierzył utwory tej kategoryi zebrać, był prof. Cybulski. Zbiór jego jednakowoż zaginął bez śladu. Toż samo spotkało rękopis znanego polonofila Kurtzmanna, którego trud podjął w dalszym ciągu G. Kohn, człowiek, dla którego Polska stała się czemś w rodzaju kanonu wiary. Najszczęśliwszym ze wszystkich dotychczasowych zbieraczy był prof. Leonhard, którego nie zastraszyły rozliczne przeszkody, stające co krok w poprzek urzeczywistnieniu zamierzonego przedsięwzięcia. Podnietą bydla niego fakt, iż w najlepszych nawet wydaniach wybitniejszych poetów niemieckich, którzy byli twórcami pieśni polonofilskich, brakowało częstokroć wielu utworów tej kategoryi. Czy w tem traf jakiś nadzwyczajny działał, czy może wpłynęły na taki stan sprawy intencye, nie mające żadnej styczności z nauką — trudno rozstrzygać na pewno. Co gorsza — w rozprawach literackich, traktujących o literaturze polonofilskiej niemieckiej z epoki powstania listopadowego, panuje ogromna niepewność co do tego, których poetów uważać należy za autorów pieśni polonofilskich, a to w równej mierze u badaczy Polaków, jak Niemców. Co najgorsza, nawet w podręcznikach szkolnych wymieniono, jako polonofilów, takich poetów, którzy nigdy tego rodzaju utworów nie napisali, natomiast pominięto tych, których milczeniem pokrywać nie należało.

Pomimo starań mozolnych nie udało się wydawcy przyjść w posiadanie w s z y s t k i c h pieśni polonofilskich. Tyczy się to między innymi utworów Heinego i Freiligratha, gdyż w żadnym z licznych wydań wymienionych poetów nie można było napotkać kompletu pieśni polonofilskich. Toż samo ma się z innymi m i n o r u m g e n t i u m poetami, żeby tylko wymienić Koernera, oraz z utworami anonimowymi, drukowanymi w czasopismach peryodycznych.

Co się tyczy układu materyału — stały otworem przed wydawcą dwie drogi: albo ugrupować utwory podług kolei wypadków roku 1831, lub podać je w porządku alfabetycznym nazwisk autorów. Prof. Leonhard obrał zupełnie słusznie metodę ostatnią, z tej mianowicie przyczyny, że niepodobieństwem byłoby oznaczyć czas powstania wielu utworów. Ponadto układ wierszy podług autorów poszczególnych daje możność tem lepszego odtworzenia ich stosunku do narodu polskiego.

Nagromadzony materyał, zawierający niejednokrotnie bardzo rzadkie utwory, podzielił prof. Leonhard na trzy tomy. Pierwszy z nich obejmuje 167 utworów, pochodzących z lat 1831—1834 (z wyjątkiem sześciu wierszy)

Wyznaczoną granicę roku 1834 przekroczył wydawca jedynie raz z powodu Lenaua.

Tom drugi, stanowiący z pierwszym jedną organiczną całość, zawrze pieśni anonimowych i pseudonimowych autorów, które ukazały się w latach 1831—1834, nadto tłómaczenia z języków obcych na niemiecki, uzupełnienia do tomu omawianego, wreszcie — co za walną zasługę prof. Leonhardowi przyznane być powinno, utwory nieprzyjaciół Polski, a na ostatek rozprawę literacko-historyczną o wszystkich tych utworach.

W tomie trzecim zostaną pomieszczone utwory, mające związek z wypadkami lat 1846, 1848 i 1863.

„Noch ist Polen nicht verloren,
In uns lebt sein Glück,
Was in Obmacht ging verloren,
Bringt das Schwert zurück.
. . . .
Weisser Adler, Theurer, fliege
Deinen Flug voll Ruhm,
Dann wird unser Land durch Siege
Freiheits-Heiligthum".

Z tego orła białopiórego uczynili prawie wszyscy jego poeci symbol wolności dla wszech-ludów Europy. Ku temu ptakowi królewskiemu skieruje swoje uczucia i Filip Bopp i Ernest Ortlepp i Maurycy Veit i tylu, tylu innych. Nie dziw tedy, że kiedy ptak ten otrzymał pocisk śmiertelny, z piersi Grillparzera na wiadomość o wzięciu Warszawy wydobędzie się okrzyk ciężki, jak gdyby jutrzenka wolności dla całego świata kulturalnego została zagaszona jakąś mocą piekielną. Ileż w utworze jego wyrzutów słusznych, wymierzonych przeciwko Francyi, szczycącej się mianem „narzeczonej wolności", ile przeciwko obojętnej postawie Anglików, którzy, zdaniem poety ujęliby się o Polskę, gdyby... Warszawa była położona nad morzem, a ileż wreszcie przeciwko Niemcom samym?!... Byli i tacy, którzy, — przykładem najlepszym Harro Harring, — wzywali otwarcie naród niemiecki do krwawego odwetu za wypadki listopadowe, gdyż tylko dążąc „przez noc do jutrzenki osięgnąć da się cel..." Ha!... alećnie — nie należy zapominać, że ten Harro Harring walczył w szeregach czwartaków!...

I nie on jeden rozpaczał nad gruzami nowożytnego Jeruzalem. Karol Herlossohn rozpamiętuje z rozpaczą „W Boże Narodzenie 1831 r." wypadki tak świeże jeszcze, kiedy to „ze wschodu rozbłysnął jasny dzień..." a baron Maltitz każe uczyć się swoim rodakom od narodu polskiego miłości ojczyzny. Bo Polska, to „kraj siły i mocy, kraj sławy, kraj czynów bohaterskich". I rada, jakiej nie poskąpił na pożegnanie, iżby nigdy nie liczyło się na pomoc obcą, jakżeż mądra była:

„Bleibe einig — stets in deinem Streben,
Durch dein ganzes, grosses Thatenleben!
E i n i g, e i n i g — Heldennation!"

Czyliż nie zawarte tutaj tak popularne, a rzadko kiedy obecnie wykonywane w praktyce, hasło: „W jedności siła!"?

Lub — czy w Polsce wielu znalazłoby się takich, którzy wiedzą, iż powszechnie znana pieśń „Tysiąc walecznych" wyszła z pod pióra poety niemieckiego? Ów szczery nasz przyjaciel, Juliusz Mosen dał nadto w kró-

ciutkim utworze p. n. „Polonia“ obrazek grozą przejmujący: W nocnej głuszy na pagórku ułożyła się na spoczynek polska niewiasta. Lecz sen nie ima się jej powiek: ojca jej rozszarpał kartacz w powstaniu Kościuszki, jej brat znalazł śmierć u boku Poniatowskiego, mąż nie powrócił od chwili, gdy wyruszył w pole na pobudkę bojową ojczyzny, a i jej syna jedynaka śmierć chwalebna zebrała ze świata. Po tylu przejściach okropnych przecież oka jej nie zamgliła łza bodaj jedna, a pierś nie wydała ze siebie jęku, gdyż ta matrona „sinnt mit altem Hass dem Russen Schmach und Tod...“

Bodaj czy nie najpłodniejszym ilościowo twórcą pieśni polonofilskich był Ernest Ortlepp, cały do szpiku kości przepojony hasłami wolnościowemi do tego stopnia, że powstanie listopadowe było dla tego Niemca „wojną świętą“, zwycięstwo zaś Polaków — „zwycięstwem ludów“, że wreszcie – jego zdaniem — zwycięstwo lub upadek sprawy polskiej były równoznaczne ze szczęściem lub pognębieniem innych narodów! Nawet po bitwie pod Ostrołęką, kiedy swoi stracili nadzieję, poeta niemiecki trwał niezłomnie w przekonaniu, że „Polska nigdy nie zginie...“ Umiłowanie Polski było u niego tak ogromne, że wprost cześć obudza. Podobnie, jak on, w równie olbrzymich zarysach nie wyobraził sobie żaden z naszych poetów księcia Józefa Poniatowskiego, którego budzi ze snu wiecznego troska, iż już nigdy nie będzie mógł walczyć o wolność ojczyzny. Ortlepp nie wierzy w przysłowiowy „F i n i s P o l o n i a e“, toż pełną piersią woła:

„Noch ist Polen nicht verloren,
Wie ihm auch die Hölle droht,
Aus dem Tode neu geboren
Grüsst es bald das Morgenroth;
Seine Mörder, seine Würger
Trifft des Himmels Racheblitz...“

Niestety! przepowiednia powyższa nie ziściła się, jak naogół nie ziszczają się po większej części proroctwa poetów... Miał wszelako najzupełniejszą słuszność w słowach, skierowanych do Sybiraków:

„Steine müssen um euch weinen!
Thränenlos ist nur — der Czar!“

Wszelako — przyznać należy, iż nikt nie wniknął na tyle głęboko w przyczyny właściwe konfliktu polsko-rosyjskiego, jak August hr. Platen. On jedyny, wieszczem tknięty przeczuciem, wypowiedział pogląd na pochodzenie Rosyan, w czasach obecnych stwierdzony już argumentami naukowymi, skoro rzucił śmiało wyzwanie:

„Aus Europa muss hinaus
Jeder absolute Graus!
M o s k o v i t e n oder Türken
Wollen uns entgegenwirken?
K e h r t n a c h O s t e n eure T h a t e n.
A s i a t e n!“

Ów instynkt pierwotny, burzycielski, nihilistyczny, jakim do tła przesiąkła dusza rosyjska, odkryły oczom hr. Platena fakta historyczne, to też w monologu p. n. „D e r l e g i t i m e M o n a r c h“ wytacza przed forum

świata cywilizowanego pospolite zbrodnie, ojco- i dzieciobójstwa, jakich nie brakło w dziejach dynastyi, przezwanej przez historyków najfałszywiej dynastyą Romanowych. Toć że to raczej dom Tantalidów!... Najdoskonalszy wyraz znalazły te poglądy w dwu lakonicznych, bo kilkuwierszowych zaledwie utworach, z których jeden przytaczamy w dosłownem tłómaczeniu:

— „Będąc dziećmi słyszeliśmy nieraz o babce dyabła; ale nawet praczki nie mogły wymienić jej nazwiska... W dziewiętnastym wieku pękła nakoniec zasłona Izydy — nauka wspięła się na wyżyny biegunowe — i każde dziecko, gdziekolwiek nie zapytałbyś go, odpowie: Katarzyna jest babką dyabelską!..."

A dziś?... Wieluż Niemców powtórzyłoby okrzyk Uhlanda, kończący każdą zwrotkę znanego wiersza „Do Mickiewicza?..."

I nie dziwić się takiemu objawowi, skoro, według słów hr. Platena „man kann hienieden nichts Schlechteres als ein Deutscher sein!..." *Dr. Stanisław Zdziarski.*

Jan Galicz: *Powstanie listopadowe w poezyi niemieckiej.* (Nakł. wł. Druk. „Tow. Domu Narodowego" (Paweł Mitręga) w Cieszynie. 1911. Str. 37). Odbitka ze sprawozdania pol. gimnazyum cieszyńskiego za rok szkolny 1910/11.

Równocześnie niemal z książką prof. Leonharda ukazała się na kresach zachodnich Polski rozprawka prof. J. Galicza, dotycząca tego samego przedmiotu, a w przystępny sposób zapoznająca ogół z najpiękniejszymi utworami niemieckich „polonofilów". Rzecz, jakkolwiek nie wyczerpująca przedmiotu i nie dość metodycznie ujęta, ukazuje się nie mniej w porę i zasługuje ze wszech miar na rozpowszechnienie wśród młodzieży i szerszych mas społeczeństwa, zwłaszcza tej ziemi, na której wyrosła, to jest w Cieszynie i wogóle na Śląsku.

Jakkolwiek pomyślana i przeprowadzona samodzielnie, zdradza na ona na każdej karcie, że autor obficie korzystał ze zbioru, ogłoszonego przez prof. Leonharda. Stąd też stanowi ona jak gdyby komentarz do niego; uprzedza to, co, w sposób zapewne wszechstronniejszy i głębszy, zrobi wydawca w zapowiedzianym tomie II-gim swych „Polenlieder": daje historyczno-literacki pogląd na niemieckie poezye, dotyczące epoki 1830 r.

Autor, nawiązując w pierwszym rozdziale (str. 3—4) do szlachetnego wystąpienia w obronie Polski K. M. Wielanda (w „Teutscher Merkur" 1773.), F. D. Schubarta („Polonia" 1774.) i całego szeregu innych poetów niemieckich z końca XVIII w., przechodzi do grupy pisarzy, opiewających rok 1830 i jego następstwa. (Rozdz. II., str. 4—26).

Zastęp poetów mniej więcej ten sam, co i u prof. Leonharda, jest jednak przecież w nim szereg nazwisk i utworów, których nie spotykamy w wydaniu „Polenlieder". Nieusprawiedliwiony n. p. tam brak wiersza Platena „An einen deutschen Staat", z którego prof. Galicz przytacza jedną tylko strofę (str. 6) i Nik. Lenaua („In der Schenke"). Z niepomieszczonych w zbiorze Leonharda nazwisk i pieśni znajdujemy w rozprawce bezimienny przekład niemiecki wiersza „Boże coś Polskę", Karola Becka („Ballade" — o Krukowieckim), Just. Kernera („Winterblüten", pieśń o zgonie Sowińskiego), Fryd. Hebbla („Die

Polen sollen leben", „Noch ist Polen nicht verloren...")[1]), Gotfr. Kinkla (w 50. rocznicę powstania list.), Georga Herwegha („Der sterbende Trompeter", „Für Polen", „Den Siegestrunknen"), bar. Droste-Hülshoffowej, Idy Hahn-Hahnowej, A. Grüna-Auerspergera („Eine Jahresfeier", w 14. rocz. powstania, do emigracyi), bar. Fr. Gaudy („Paulina" i i.) i hr. A. F. Schacka („Dembiński").

Trudno nam tu wchodzić w chronologię utworów tych pisarzy i stwierdzać, czy słusznie zostali oni pominięci w wydawnictwie prof. Leonharda. To pewne, że nie były mu one obce; przeważna zaś ich część, choć się odnosi do powstania listopadowego, powstała znacznie później i znajdzie niezawodnie pomieszczenie w następnym tomie „Polenlieder". Prof. Galicz, nie zacieśniając sobie granic przedmiotu, poświęcił uwagę i tym utworom i poetom późniejszym, (dzieląc niezupełnie słusznie i nie wedle jednego kryteryum) wszystkich niemieckich śpiewaków o Polsce na cztery grupy:

a) „Wirtuozów" (Platen, Chamisso, Gaudy i Schack)

b) „Młodych Niemiec" (Heine, Börne, Laube, Droste-Hülshoff Hahn-Hahn i kilku liryków politycznych)

c) „Szkoły szwabskiej" (Uhland, Schwab i Kerner) i

d) „Grupy austryackiej" (Grillparzer, Lenau, An. Grün, Hebbel i Zedlitz). (Por. rozdział III., str. 33).

Przygodnie wzmiankuje i o utworach prozaicznych niemieckich, dotyczących sprawy polskiej (jak np. H. Laubego powieść „Młodą Europę"), a nawet o genialnej kompozycyi Wagnera „Polonia").

Rozd. III. (str. 26—34) daje pewne historyczno-literackie objaśnienia do przytoczonych w poprzednich rozdziałach utworów, starając się głównie określić, o ile postaci i wypadki poszczególne w epoce powstania listopadowego zgodnie z prawdą historyczną odbiły się w poezyi niemieckiej. Na ogół biorąc, odbicie to bardzo jasne, żywe, nawet szczegółowe. Niema prawie wybitniejszego momentu, któryby nie znalazł był oddźwięku w której z „Polenlieder". Sam wybuch tylko, poryw podchorążych z Wysockim na czele, pominięty tam milczeniem. Skrzynecki i Ramorino podniesieni niesłusznie do wielkości bohaterów („ein Koloss", porów. z Sobieskim, Kościuszką!), — Chłopicki, Dwernicki, Dembiński, Sowiński, Krukowiecki mniej więcej wierni, czasem bardzo dosadnie scharakteryzowani, — o Bemie, Prądzyńskim i Łukasińskim znowu niesprawiedliwe milczenie. Strona przeciwna, rosyjska, bardziej jednolity daje obraz. Mikołaj I., Dybicz, W. ks. Konstanty, Nowosilcow — to sfora psów rozbestwionych, „Polenwürger", sojusznicy szatana w dziele zniszczenia. Upadek Polski plamą na dziejach Europy; niepodległość Polski obowiązkiem przyszłości i cywilizacyi. Częste i gorące wezwania do pomocy orężnej, do polityki uczciwości, do interwencyi nawet Niemiec na korzyść Polski. Nie rzadko głosy praktycznego rozumu — trwogi przed „rosyjskiem niebezpieczeństwem". Wkońcu — nadzieja i wiara w wskrzeszenie Polski.

---

[1]) Niema nic wspólnego z wierszem (anonyma), taksamo zatytułowanym w zbiorze Leonharda. (Str. 6).

Czy jednak głosy te szlachetne znalazły jaki posłuch, oddźwięk u sfer rządzących? Rozpaczliwe słowa poety Platena, gdy wyklinał „den mörderschen Zensor“ — są najwymowniejszem świadectwem upadku ducha i poczucia etycznego w Niemczech „zjednoczonych“ [1]). Czy może być coś bardziej upokarzającego dla Niemiec, jak to rozpaczliwe powiedzenie jednego z z najszlachetniejszych pisarzy niemieckich.

Ocena formy i artystycznej wartości „Polenlieder“, dodana do tego rozdziału, zbyt powierzchowna i niewystarczająca.

W rozd. IV. (str. 34—37) dosadne zestawienie tych entuzyastycznych porywów, co się już dawno w hakatystyczne ujadanie zmieniło, z chwilą obecną. Bismark — „ausrotten!“ — wywłaszczenie — zdeptanie wszelkich praw ludzkich — wywrócenie wszelkich pojęć etycznych.... Smutne, ale prawdziwe wypełnienie się przeczucia Grillparzera co do Niemiec i ich kultury:

„Der Weg der neueren Bildung geht von Humanität durch Nationalität zur Bestialität!....“

Na cenny zbiór „Polenlieder“ prof. Leonharda i na broszurę p. Galicza pozwoliłbym sobie zwrócić uwagę i „braci“ Słowian. Wiadomą jest rzeczą, jak sądzi epokę powstań i rewolucyi polskich wielu z pomiędzy Słowian. Ciasnota, ignorancya, fałszywe uprzedzenia, a nie rzadko i kłamstwo leżą dnie tych sądów, pojmujących rozpaczliwe szamotanie się Polski, jako wyraz wiecznego „ducha buntu“, a Polaków, jako wiecznych „malkontentów“, niszczących „jedność słowiańską“.

Zaiste, zdumiewające to i smutne, a przecież prawdziwe: w całej bogatej poezyi Słowiańszczyzny napróżno szukalibyśmy podobnie głębokiego i potężnego oddźwięku polskiej walki o wolność, jak w poezyi Niemców! — Gdzie przyczyna? — Nie tu miejsce roztrząsać. Dodamy tylko radę i życzenie: Owe niemieckie pieśni niechaj biorą w rękę i ci wszyscy bracia Słowianie, którzy dotychczas jeszcze nie przejrzeli, i z nich niechże się uczą, czego ich nie zdołało nauczyć sto lat krwawej niedoli narodu polskiego.

Dr. Tad. Stan. Grabowski.

Grabowski Tadeusz Stanisław: *Sprawa grobu i szczątków Władysława Warneńczyka.* (Przegląd źródeł, materyałów i pamiątek). Warszawa 1911. str. XIV, 120, z illustracyami. („Poprzez Słowiańszczyznę“, III).

Przed kilku miesiącami w tem samem piśmie zdawałem sprawę z interesującej rozprawy J. Grzegorzewskiego „Grób Warneńczyka“. Oto znowu ukazuje się inna rzecz, tem samem pytaniem się zajmująca. Tak więc w przeciągu kilku miesięcy dwóch badaczy sprawą się zajęło. Bułgarska literatura jest pod tym względem wcale bogata; badacze i archeologowie, jak bracia Szkorpilowie, Dimitrow, podejmują w tym celu osobne badania, zakładają muzeum dla Warneńczyka osobne, myślą o postawieniu temuż królowi wielkiego pomnika. Cieszy nas tedy, że przecież i między nami zaczyna się pojawiać pewne zainteresowanie.

[1]) Por. wyżej cytatę w recenzyi Dra Zdziarskiego.

Książka Dr. T. S. Grabowskiego budzi, a raczej podwaja zainteresowanie się nasze i ciekawość, przez to właśnie, że możemy ją porównać z rozprawą Grzegorzewskiego. Obie pisane były jednocześnie, a Dr. Grabowski znał dzieło Grzegorzewskiego jedynie ze streszczenia podanego w „Sprawozdaniach Akademii Umiejętności" krakowskiej, znał więc tylko treść i wyniki ostateczne, ale nie znał całego sposobu opracowania i przeprowadzenia swojego sądu, toteż nic dziwnego, że wiele szczegółów mógł nie zrozumieć.

Ale książka Dr. Grabowskiego ma zupełnie odrębny charakter, niż tamta rozprawa, rozprawa w ścisłem znaczeniu tego słowa, zakończona hipotezą na podstawie badań historyczno-folklorystycznych, rozprawa ważna i nieobojętna dla naszej nauki. Książka natomiast niniejsza nie jest tą rozprawą istotną (i nie ma też do tego żadnej pretensyi), lecz jest to w bardzo zajmujący sposób zebrany cały materyał wszelkiego rodzaju do dziejów bitwy warneńskiej i losów króla Władysława, materyał od XV. w. t. j. od współczesnych czasów aż po dni dzisiejsze. A autor przeglądając i badając ten materyał cały, wykazuje wkońcu, jakie rezultaty, jakie wnioski można z niego wysnuć.

Jakież to są materyały? Rozdział pierwszy jest niejako wstępny, pierwsze pogłoski dzisiejsze: a zatem głosy prasy polskiej i węgierskiej, orzeczenie komisyi archeologicznej w Warnie, hipoteza Grzegorzewskiego i zapatrywania na nią bułgarskich uczonych. Rzecz jednak właściwa rozpoczyna się rozdziałem drugim.

Treścią jego omówienie źródeł i świadectw piśmiennych i to we wszystkich językach. A zatem listy Palatia, kroniki bizantyńskie, polskie (od Długosza i Kallimacha — życiorys Grzegorza z Sanoka, uczestnika bitwy warneńskiej — aż do t. zw. „Pamiętników Janczara) tureckie, węgierskie, niemiecki poemat Behaima i dwa greckie. Rozbiera je dokładnie, przytacza ustępy dotyczące bitwy z 1444. roku, porównywa je, w czem się różnią, a w czem są zgodne, jakie szczegóły znajdują się i o ile coś nowego, odmiennego przynoszą, aż wkońcu wyciąga z nich ostateczne rezultaty. Ale te rezultaty nie są ogólne, wzięte z porównania i zbadania wszystkich tu przepatrzonych źródeł, ale z każdego z osobna lub kilku spokrewnionych z sobą. Szkoda, że autor nie wyciągnął tutaj ostatecznych wniosków, nie zestawił ich wszystkich razem i nie porównał, ale i ta metoda nie jest wcale czemś podrzędnem, owszem bardzo pożyteczną, bo czytelnik widzi, co pewne spokrewnione pomniki posiadają za wiadomości i jakie wnioski można z nich wysnuć. Ale obok tej metody wcale nie byłaby tu zbyteczną i ta druga: zestawienie summaryczne wszystkiego, uogólnienie wszystkich razem materyałów i wniosków, zestawienie wiadomości sprzecznych i zgodnych, zaznaczenie przytem, że ta a ta kronika ma jeszcze taki a taki szczegół, którego nigdzie indziej nie znajdujemy. Takie ogólne wnioski wyciąga autor np. z kronik bizantyńskich lub z owych dwóch poematów greckich: Zotikosa z XV. w. i Hieraksa z końca XVI. w., które to poematy dopiero świeżo zostały odkryte, i teraz też zajęła się nimi bliżej historyografia bułgarska, a za jej pośrednictwem autor. Zotikos n. p. jest wprost zupełnem przeciwieństwem owych naszych „Pamiętników Janczara". Je-

dnym z rezultatów, które spostrzedz można w tym całym materyale tutejszym, jest spostrzeżenie dosyć silne, że mało jest w nich wiadomości pewnych i niewątpliwych, co się naprawdę stało z ciałem królewskiem, czy i gdzie zostało pochowane; mimowoli zatem nasuwa się uwaga, którą i autor też podnosi, czy ciało królewskie nie zginęło zupełnie bez śladu, w zamięszaniu przygniecione 2 tysiącami innych trupów. Rozdział to wogóle prawie najciekawszy z całej pracy, przerobiony starannie; jednak muszę podnieść jeden błąd zasadniczy, a ten mianowicie, że autor w paru wypadkach nie korzystał z oryginału danej kroniki, ale z przekładu lub jakiegoś streszczenia, ponieważ nie miał tekstu oryginalnego w ręku; tak było n. p. z kroniką Stryjkowskiego, Herburta z Dobromila, „Pamiętnikami Janczara". Autor zawsze się do tego przyznaje i przytacza, skąd czerpie wiadomości danego kronikarza, usprawiedliwia się, że pracuje w Warnie i Sofii i tam pisze rzecz niniejszą; ale wolałbym przecież opóźnić nieco wydanie pracy, a przedtem porównać „ten przekład lub streszczenie, z którego czerpałem, z danym ustępem samego oryginalnego tekstu".

Rozdział następny, to: „Tradycya i powieść gminna". Autor zaznacza tu zaraz na początku, że to najsłabszy ustęp w niniejszej jego pracy: bo przegląd tych wszystkich legend, opowieści i bułgarskich i tureckich i innych, a to wszystko powikłane, sprzeczne, różnorodne — to rzecz, która wymaga długiej pracy i w dodatku pracy ogromnie fachowej. Zbacza ta praca w stronę folklorystyki, autor zaś folklorystą nie jest i za krótko bawił w Bułgaryi, by módz to wszystko zebrać, zanalizowywać. A przytem wiadomo powszechnie, że tzw. poezya ludowa czyli opowieść gminna — pozostaje w ciągłej ewolucyi, rozwoju z biegiem lat. Te opowieści przekształcają się w mniejszym lub większym stopniu, dobierają, zmieniają, wyrzucają pewne szczegóły, epizody, działają na nie i wywierają swój wpływ na lata i inne opowieści, które się potem łączą w jedną, odpowiednio dostosowaną; a przytem nie brak tu wcale wpływu opowieści i innych narodów sąsiedzkich. Znaną jest zresztą w ogólności, a poniekąd wszędzie jednakową historya powieści ludowej — nie ma więc o czem tu więcej się rozwodzić! Przejdźmy do rzeczy samej. Ale nie do samych opowieści ogranicza się tutaj autor, ale także wzmianek u niektórych pisarzy dawniejszych np. Kallimacha o postawieniu na grobie jakiejś kolumny, lub Behaima (poemat niemiecki), że poległego bohatera pochowano w greckiej jakiejś kaplicy w Warnie itd. Nie pomija i dzisiejszych badaczy opinii i sądów, a więc braci Szkorpilów, Jirečka, Grzegorzewskiego i innych. Konstatuje Dr. T. Gr., że owe główne trzy legendy: czysto religijna, bułgarska i turecka zgadzają się w trzech punktach, że w owych „teke" pochowano jakiegoś rycerza, który walczył za wiarę, i że wreszcie temu bohaterowi ucięto głowę; mniejsza o to, jakiej był on narodowości. Ale że równocześnie i te podania i inne także, nie stwierdzają stanowczo i z całą pewnością, że to jest właśnie grób króla naszego, ale że to mogą być bohaterzy zarówno chrześcijańscy, jak i obcy t. j. muzułmańscy i nie określają wreszcie wyraźnie, że właśnie w tym „teke" przy 4 klm. od Warny, ale i równie dobrze w kilku innych, jakie są na polach warneńskich. Wkońcu zaznacza autor, że dotychczasowe badania szły dwojaką drogą:

pierwsza, to silnie postawiona hipoteza J. Grzegorzewskiego, oparta na podaniach ludowych i opowieściach czyli droga folklorystyczna, bardzo skomplikowana, pełna kombinacyi filozoficznych i teologicznych, sięgająca do pojęć i zasad mazdeizmu i mistycyzmu; druga droga — to badania archeologiczne, prowadzone przez Szkorpilów, Dymitrowów, ale i ta do rezultatu stanowczego i jasnego jeszcze nie dotarła. Warto tu jeszcze zaznaczyć, że znajduje się także pogłoska, jako iż Warneńczyka ciało zginęło razem z tysiącami innych w falach jeziora dewneńskiego.

Rozdział czwarty zajmuje się pamiątkami i pomnikami. Pierwszą taką pamiątką — to samo pobojowisko wojenne. Inne — to jakaś płyta kamienna, legendarna niemal, a zabrana przez wojska rosyjskie w XIX. w., to owa kolumna, o której wspomina Kallimach, powiadając, że Turcy sami uczcili w ten sposób Warneńczyka; a tymczasem bliższe badania wykazały, że jak na polach okolic Warny nie brak także grobów trakijskich, tak i ta koluma, to milowy słup rzymski, jak dzisiaj nasze słupy kilometrowe przydrożne.

Warneńczyka uznaje się w ostatnich czasach za pierwszego oswobodziciela Bułgaryi i Słowiańszczyzny południowej z pod jarzma tureckiego, ale zgon jego tragiczny nie dozwolił mu doprowadzić tego dzieła do skutku. Toteż Warneńskie Towarzystwo Archeologiczne utworzyło w swojem muzeum osobny oddział Warneńczyka, w którym gromadzi wszystko, co tyczy się osoby króla i wogóle całej tej katastrofy z 1444. roku. Co do postawienia pomnika królowi z pod Warny, myśl wychodzi naprzód od Polaków, a raczej z Polski (Kallimach) i snuje się, jak nić złota, aż po dzisiejsze czasy. Podejmuje tę myśl w czasie wojny turecko-rosyjskiej w r. 1828/9 car Mikołaj I. i pisze charakterystyczny i ciekawy list do jenerała Woroncewa w języku francuskim, wyrażając w nim chęć i życzenie, by, skoro nie można odnaleźć szkieletu bohatera z pod Warny i pochować w Warszawie, żeby przynajmniej stanął w Warszawie pomnik na jego cześć i chwałę. Myśl ta nie została urzeczywistniona, bo powstanie listopadowe udaremniło jej zrealizowanie. List ów Mikołaja I. spotkał się z ostrą krytyką niemieckiego etnografa Kanitza, bo zapomina w nim Mikołaj I. o Węgrach i innych narodach walczących pod Warną i traktujący Władysława wyłącznie jako króla polskiego. Dr. Grabowski, który ten list przytoczył w całości, broni tu z siłą Mikołaja I., przyznając mu słuszność i prawo, że jako „król polski" (Królestwo kongresowe) tylko jako swojego poprzednika na tronie polskim mógł go uważać. Wogóle w traktowaniu dziejów warneńskiej katastrofy przez badaczy nowszych, a zwłaszcza węgierskich, tkwi ten szowinizm narodowy. Zaznacza autor, że w tej myśli Mikołaja I., szlachetnej i wysokiej, tkwił i własny interes i chęć chwały u cara rosyjskiego, ale przypomnieć mu także należy, że owe lata, tuż przed wybuchem powstania, lata owej wojny rosyjsko-tureckiej, to była chwila, gdzie Mikołaj I. kokietował z Polską, obawiając się właśnie wybuchu powstania na tyłach swojej armii i w czasie wojny z Turkami. Podczas wojny krymskiej utworzył się, jak wiadomo, oddział ochotników wśród Polaków, tzw. legion Sadyk-Paszy (Czajkowskiego) i ci to legioniści w maju 1856. r. (a walczyli oni po stro-

nie Turków), postawili na polach warneńskich na cześć króla pomnik t. j. kolumnę z granitu, z napisem i wierszem ułożonym przez hr. St. Ostroroga. Ale pomnik ten już od lat kilkudziesięciu nie istnieje.

Autor przypuszcza, że zniszczyli go Bułgarzy za podjudzeniem ajentów i popów rosyjskich—i przypuszczenie to wcale prawdopodobne. W Muzeum archeologicznem w Warnie znajduje się odbitka tej kolumny z owym napisem i wierszem Ostroroga; autor podaje i tekst cały i ilustracyę owego pomnika. Ostatecznie podejmuje myśl pomnika w Warnie sofijskie Towarzystwo archeologiczne i wydaje odezwę (przytoczoną na końcu dzieła przez dr. Grabowskiego) do wszystkich narodów, które walczyły pod Warną, by się pieniężnymi datkami przyczyniać do zbudowania pomnika dla bohatera Słowiańszczyzny. Autor zachęca do tego, a także do posyłania darów Muzeum; wylicza też, co dotąd Muzeum posiada.

Zestawiając wyniki szczegółów tegoż rozdziału, konstatuje autor, że dotychczasowe badania co do zwłok królewskich spełzły na niczem, dały tylko tę lub ową wskazówkę, ale żadnych dowodów stanowczych.

Wogóle dotychczasowe badania i ich rezultaty (rozdział V) stwierdzają jasno, że nie były one prowadzone jeszcze w sposób ścisły i na wielką skalę. Brali w nich udział uczeni bułgarscy, a jako ich pomocnicy i nauczyciele szkół ludowych, ale ostatniego słowa nie wypowiedzieli. Jest tylko faktem, stwierdzonym przez G. Dymitrowa, że w żadnej istniejącej obecnie w Warnie cerkwi wschodniej nie odnajdzie się stanowczo zwłok króla Warneńczyka. Badania dotychczasowe rzuciły tylko pewne poszlaki; określono w przybliżeniu pole walki z 1444. r., miejsce zgonu króla i ewentualnie tylko miejsce jego pogrzebania, wreszcie kilka wskazówek co do badań dalszych, jak je mianowicie prowadzić i w jakim kierunku. A więc należy zbadać dokładnie cały teren pobojowiska i mieszczących się na nim licznych grobowców, uchodzących za trackie, a zwłaszcza kurhan „Meszeli-teké", w dalszym ciągu i terytoryum starej Warny i dno jeziora dewneńskiego. To pierwsza część — wybitnie archeologiczna, do której winni być użyci i zawodowi strategicy i archeolodzy. Drugie zadanie, to zbadanie szczegółowe i fachowe wszystkich źródeł pisanych (kronik itp.), jak niemniej powieści i legend gminnych (materyał folklorystyczny) wraz z całą ich historyą, ewolucyami i wzajemnemi wpływami, jak wreszcie dotrzeć siłą całą do ukrytych aktów watykańskich, które obejmują tę sprawę wojny z 1444 r. i jej historyę. Wreszcie dotrzeć i zbadać wszelkie zbiory muzealne i biblioteczne rządowe i prywatne, jak n. p. biblioteka greckiej metropolii w Konstantynopolu, tureckich zbiorów i w stolicy państwa i w Brussie, (tu miano bowiem odesłać głowę Warneńczyka) koło najwspanialszej dawnej świątyni św. Eliasza, pożarem z 1855 r. w gruzy obróconej, jak również w „dżamiach" tureckich i cmentarzach chrześcijańskich, a z pierwszych t. zw. „Ogludżanin" Murata I. i w Olimpie bityńskim (azyatyckim), co do którego również pewne wzmianki spotykamy w literaturze, o ile się zajmuje i grobem Warneńczyka. Badania terenu Brussy i wysokiego Olimpu wchodzą w zakres badań archeologicznych. Należy także czynić poszukiwania w domach dawnych rodzin tureckich i innych, mieszkających w Warnie i okolicy, w zbiorach polskich, zarówno

na terenie polskim, jak w Szwajcaryi i w Paryżu, rosyjskich, w szczególności w Carskiem Siole i innych.

Jak widać z tego, praca to rozległa i żmudna bardzo, wymagająca dużo lat. Toteż dr. Grabowski radzi, aby stworzyć wielki i specyalny komitet międzynarodowy (Bułgarzy, Polacy, Węgrzy itd.), ogółem komitet wielki, centralny, z siedzibą w Warnie, o całym szeregu komitetów i subkomitetów krajowych, narodowych, a z odpowiedniemi funduszami.

Przypatrzywszy się bliżej i porównawszy pracę niniejszą i J. Grzegorzewskiego poznamy wielkie między niemi różnice w samym ich charakterze. Praca dr. Grabowskiego — to jakby szczegółowe i dokładne sprawozdanie i taką chciał ją mieć autor. Grzegorzewskiego zaś — to rozprawa samodzielna, dająca rezultaty swoich własnych badań. Rezultat pracy p. Grzegorzewskiego, zbudowany starannie i wcale ważny i ciekawy, uznaliśmy i uznać musimy tylko za hipotezę ciekawą, charakterystyczną i nieobojętną, ale która wymaga całego jeszcze szeregu dowodów silniejszych i pewniejszych. Tak ją też ocenił i dr. Fr. Papée (*Kwartalnik historyczny* 1911 r.).

Głównie chodzi o oznaczenie kurhanu, w którym złożono zwłoki króla Władysława. Grzegorzewski wskazuje ów, o 4 klm. oddalony od Warny, — z przedstawienia zaś dr. Grabowskiego uwaga nasza i prawdopodobieństwo kieruje się na kurhan „Meszeli-teké“. Ogółem mówiąc, autor wierzy, że po długich i wszechstronnych badaniach da się jeszcze odnaleść miejsce i śmierci i grobu Władysława Warneńczyka. My zaś z tego wszystkiego, co nam dał w swej pracy dr. Grabowski, a poniekąd i p. Grzegorzewski, obawiamy się, że zwłoki Warneńczyka zaginęły wprost zdeptane kopytami końskiemi w wirze walki, na jej terenie. Ale to tylko osobiste wrażenie czy mniemanie, które snadnie fałszywem zupełnie się może okazać.

Dr. Maryan Goyski.

Franciszek Rawita-Gawroński: *Andrzej Towiański i Jan Andrzej Ram.* Kartka z dziejów mistycyzmu religijnego w Polsce w pierwszej połowle XIX. wieku. Lwów. 1911. 8-ka większa; str. 42.

Z pomroki, jaką do niedawna jeszcze była otoczona towiańszczyzna, wydobyto sylwetkę postaci, równie ciekawej, jak ważnej i poniekąd zagadkowej.

Gerszon Ram urodził się w Wilnie, jako syn zamożnego kupca-izraelity. O życiu jego wileńskiem nie mamy żadnych szczegółów, nie znamy powodów, które go wyparły z kraju, a tem bardziej tych, które go sprowadziły do Paryża. Zdaje się, że był to jeden z tych entuzyastów-marzycieli, który z jakichś pobudek wewnętrznych, nie dających ująć się w żadne znane formuły, rwali się do światła, choćby w niem spłonąć mieli. Jako wyznawca religii mojżeszowej był zwolennikiem nauki mistrza, upatrując w nim „bramę zbawienia Izraela“, toteż połączył się zupełnie ze „sprawą Bożą“.

U Towiańczyków odgrywało zawsze wielką rolę poczucie potrzeby jakiegoś czynu i wynikająca stąd pewna impulsywność działania. Pod takim wpływem odbył się także chrzest Rama. W połowie r. 1842 Ram zachoro-

wał ciężko i „poczuł potrzebę chrztu św.“. Wypadek zrządził, że „w tejże samej chwili“ R. Januszkiewicz wstąpił na modlitwę do kościoła i tam otrzymał „rozkaz“, ażeby poszedł co rychlej do Rama dla udzielenia mu chrztu św. „Objawionem mu przytem było, ażeby kupił wodę święconą, bo matkę chrzestną spotka po drodze. Jakoż istotnie, wespół ze spotkaną Ksawerą Deybel udał się do Rama. „Zastali go prawie konającego, ale pałającego żądzą otrzymania chrztu św.“. Istotnie obrządku tego dokonali. Po przyjęciu chrztu św. Ram nagle powrócił do zdrowia.

Oczywiście zdarzenie to wywołało głębokie poruszenie w całem „Kole“; tem bardziej, że w nowonawróconym upatrywano niejako narzędzie do ogłoszenia „sprawy Bożej“ Izraelitom. Akt uroczysty chrztu Rama odbył się niebawem w kościele St. Séverin. Całe Koło Towiańskiego było obecne przy tej uroczystości, celebrowanej przez ks. Kajsiewicza w asystencyi innych księży. Odbyła się ona ze strony Rama w nadzwyczajnem podniesieniu ducha, z żarliwością człowieka przekonanego i wierzącego. Postawa pełna pokory, głębokie wzruszenie, malujące się na twarzy nowego prozelity, gorącość skruchy, objawiona łkaniem, poruszyły do głębi dusze obecnych. Księża nawet nie pozostali obojętni. Na chrzcie św. Ram otrzymał imiona Jan Andrzej — imię ulubionego ucznia Chrystusa i — imię mistrza Towiańskiego.

Żyd z urodzenia, z religii, ze sfery codziennego życia, już jako żyd musiał należeć do tych wierzących marzycieli, którzy oczekiwali przyjścia biblijnego Zbawiciela, mającego przynieść słodycz pokoju i zjednoczenia. Jako syn narodu, żyjącego w poniżeniu i rozproszeniu, tem goręcej odczuwał nadzieję lepszej przyszłości, im teraźniejszość była cięższa. Wiadomo zaś, jaka to była teraźniejszość i losy żydów za czasów Mikołaja I. I oto nagle poznaje człowieka, który przemawia do niego myślami proroków hebrajskich, słowami pełnemi nieraz mistycznej tajemniczości: „że zbliża się godzina...“ że „czas Wielkiego Miłosierdzia zbliża się“. Nic więc dziwnego, że ten młody entuzyasta, z zarodkami mistycyzmu w duszy swojej, woła słowami proroka Samuela: „Mów, Panie, bo oto sługa twój słucha“. Uwierzył tedy w nowe „Słowo“ i postanowił zostać apostołem tego „Słowa“ wśród Izraelitów — najprzód we Francyi.

W czasie pielgrzymki po Francyi — Ram, kąpiąc się w morzu w Marsylii, usłyszeć miał głos: „Ram! Ram! do Rzymu!“ Wyruszył bez zwłoki „w naznaczoną sobie podróż“ w r. 1843, nie wiedząc wcale, że mistrz Towiański udał się również do wiecznego miasta, wydalony z Francyi przez rząd. Towiańskiego wszakże nie dopuszczono przed oblicze papieża i kazano mu w ciągu 24 godzin opuścić granice państwa kościelnego. Mistrz spotkał się z uczniem pod bramami Rzymu. Spotkanie to było o tyle ważne, gdyż Ram przyjął na siebie obowiązek wręczenia Ojcu Świętemu memoryału Towiańskiego.

Jako neofita, Ram miał i dostęp łatwiejszy i większe względy. Uważając wręczenie memoryału za „rozkaz Boży“, przystąpił do tego z gorliwością wielką, bo przygotowywał się przez 9-ciodniowe rekolekcye. W czasie spowiedzi pozyskał sobie zaufanie spowiednika, a za jego wstawieniem się posłuchanie u Ojca Świętego. Na uroczystem posłuchaniu wręczył papieżowi memoryał Towiańskiego i przemówił do Ojca Świętego „jako nawró-

cony Izraelita i sługa sprawy Bożej do Najwyższego Urzędu Bożego". Nadzwyczajne podniesienie ducha, w którem Ram dopełnił tej powinności, uczyniło wrażenie na Ojcu Świętym i na otaczających go.

Prawie fanatyczna gorliwość, z jaką Ram spełnił w Rzymie polecenie Mistrza, nie mogła nie zwrócić szczególniejszej uwagi Towiańskiego na tego entuzyastę-marzyciela, wędrującego piechotą od miasteczka do miasteczka, przez Francyę całą i szukającego uczniów dla „Sprawy Bożej". Być może wtenczas już powstała w jego umyśle idea apostolstwa w Judei, między żydami, i nawrócenia ich na chrześcijan. Do urzeczywistnienia tej myśli nadawał się jak najlepiej Ram — żyd nawrócony i gorący krzewiciel „Sprawy Bożej", który wierzył wraz z innymi, że nastąpiła „epoka chrześcijańska wyższa".

Po powrocie z Rzymu o Ramie głucho aż do końca prawie 1844 r. Należy przypuszczać, że w tym czasie dojrzewała myśl poruszenia Izraelitów dla „Sprawy Bożej", rzucenia pomiędzy nich idei zawarcia z Bogiem nowego przymierza. Na takie przypuszczenie naprowadzają listy Towiańskiego do R o t s c h i l d a, zakończone rozmową z bankierem frankfurckim. Jaki był wszelako wynik tej rozmowy? — nie wiemy.

Sposobiąc niejako Rama na apostoła Judei, Towiański poddawał poniekąd myśli i słowa, którymi nowy apostoł miał trafiać do zatwardziałych serc żydowskich. Jak jednakowoż „wolę Bożą" wobec żydów rozumiał, tego Towiański nie wyjaśnił. Wydobywszy prawdopodobnie od Rotschilda fundusz potrzebny, wyprawił Towiański Rama do Jerozolimy, dokąd wysłannik przybył w połowie stycznia 1845 roku. Sam fakt podjęcia się tej podróży był dowodem głębokiej wiary w posłannictwo Towiańskiego i podniesienia ducha, poruszonego wielką ideą. Niepodobna wszakże nie zauważyć, że o ile charakter misyi Rama mógł być zgodny z duchem chrystyanizmu, o tyle co do strony dogmatycznej nie posiadał znamion apostolstwa chrześcijańskiego.

Za przybyciem do Jerozolimy nie przyznał się widocznie do zmiany religii, skoro pozwolono mu przemawiać w synagodze, na co nie zgodziliby się niewątpliwie starsi gminy, gdyby byli wiedzieli, że Ram jest chrześcijaninem. W przemówieniu swojem Ram obwieścił przyjście „Męża Bożego", który „zbawi Izraela". „Od niego tylko — mówił — dowiedzieć się możemy o wielkości narodu izraelskiego i wysokiem posłannictwie jego w Sprawie Świętej. Od niego tylko wziąć możemy nowe światło na przyszłe życie nasze". Słowa takie nie mogły nie poruszyć i nie wzbudzić dumy narodowej w tych, którzy wobec całego świata byli upośledzeni i upokorzeni. Nadzieją przeto i światłem mogły wydać się słowa Rama, który, jak prorok, wołał: „Zaklinam Was, Bracia, abyście obudzili ducha waszego, który tak wielkim jest przed Bogiem, do zrozumienia Woli Jego, przyniesionej nam przez Sługę Bożego, na którego to p r z y j ś c i e o c z e k i w a ł n a s z n a r ó d o d t y l u w i e k ó w"... Było to tedy zwiastowanie radosnej nowiny, że czasy już wypełniły się, że w osobie Mistrza przyszedł już — długo oczekiwany... Można sobie wyobrazić, jak potężne wrażenie na słuchaczach mogły wywrzeć takie słowa. Poruszyły one do głębi dusze rozbitków, płaczących na gruzach Jerozolimy i krzepiących się nadzieją...

Pobyt Rama w Jerozolimie przedłużył się zapewne do połowy utego, gdyż dopiero w drugiej połowie kwietnia widzimy go w Europie. W ciągu tego pobytu nawiązały się ściślejsze stosunki, których łącznikiem była wielka nadzieja. Z Palestyny postanowiono napisać do „opiekuna Izraelitów, w Ziemi Świętej osiadłych, mieszkającego w Amsterdamie“ I obiecano wyprawić posłów do Polski i do Francyi.

Zdaje się, że w „Kole“ Towiańskiego zwrócono uwagę na to, że misya Rama nie wykazuje, jakoby miała na celu nawrócenie Żydów na katolicyzm rzymski. Toteż Ram sprowadził zręcznie kwestyę wiary na pole dyalektyki: „Kościół katolicki nakazuje Izraelowi, aby wierzył, że Chrystus był Bogiem, tego Izrael nie pojmie odrazu“. A w kwestyi chrztu wypowiedział się w sposób jeszcze bardziej stanowczy: „Izrael nie będzie potrzebował formy chrztu w kościele; zchrześcijani się przez przyjęcie nowego ducha“... Była to już ze strony Rama próba tworzenia jakiegoś nowego chrystyanizmu, nietylko bez Chrystusa Pana, ale i bez form, przyjętych w Kościele katolickim; było to — poprostu mówiąc — lekceważenie władzy Namiestnika Chrystusowego, ambitne wywyższanie się, zasłonięte słowami pokory. Bądźcobądź idea Rama miała wszelkie znamiona sekciarskiego wyłamywania się z pod zasadniczych dogmatów chrystyanizmu.

Wkrótce wyjechał Ram do Frankfurtu nad Menem celem odbycia konferencyi z rabinami i — zapewne — widzenia się z Rotschildem. Stąd jednak postanowiła go wydalić policya, której nie podobała się zapewne propaganda na korzyść jakiejś misyi wszechludzkiej Francyi. Z chwilą wyjazdu Rama do Amsterdamu — dokonuje się gwałtowny jakiś zwrot w jego życiu duchowem. Może argumenty Żydów wierzących, a może inne, nieznane nam przyczyny ochłodziły gorliwość apostolską Rama. Ślady dalszej jego działalności na polu nawracania Izraela „do Boga“ zacierają się. To jedno jest pewne, że jego zapał mistyczny oziębił się rychło i Ram, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwyczajem wielu Izraelitów, nawrócił na dawną drogę. Wobec niewyraźnego pojmowania przez niego ducha chrystyanizmu — musiało przyjść do zerwania z Kościołem. Kiedy to nastąpiło, w jaki sposób i w jakich okolicznościach, pozostaje dla nas dotychczas tajemnicą.

Towiański wszakże odczuł głęboko tę nową przemianę duchową Rama. Zbyt wielką wagę przywiązywał do jego nawrócenia się, zbyt szeroko sięgał myślą w nadziejach pozyskania Żydów dla chrześcijaństwa, aby go odstępstwo Rama nie zabolało. Z wyżyn i marzeń religijnych zstępował Ram na zwykłe, bardzo powszednie niziny życia.

To, co chciano budować na fundamentach z piasku, rozwiało się w chwili jednej....

Praca p. Rawity-Gawrońskiego, mieszcząca w dodatkach dziesięć pism Towiańskiego i Rama, wydanych po raz pierwszy, stanowi nietylko przyczynek ważny do dziejów towiańszczyzny, ale nadto nasuwa uważnemu czytelnikowi długi szereg refleksyi na temat zbyt pochopnego nawracania Żydów na chrześcijaństwo. Żyd bowiem każdy, przyjmując chrześcijaństwo, traci to, czego żaden inny naród na świecie nie traci, a co go wyróżnia

z pośród wszystkich — t. j. narodowość. Niemiec może być katolikiem, luteraninem, kalwinem, ale pozostanie mimo to zawsze Niemcem. Żyd jednak, nie wyznający mozaizmu, przestaje byc Żydem!... W tem cała tragedya!...

Dr. Stanisław Zdziarski.

ЗАПИСКИ НАУКОВОГО ТОВАРИСТВА ІМЕНИ ШЕВЧЕНКА. (Zapysky naukowoho towaristwa imeny Szewczenka). Lwów 1911, t. 101, str. 222; t. 102, str. 239.

Oba te powyżej wymienione tomy poważnego ruskiego wydawnictwa przynoszą wiele ciekawego materyału, mogącego zainteresować szersze nawet koła czytelników polskich.

Najbardziej zająć nas może praca **Michała Woznjaka** p. t. *Hramatyka Ławrentia Zyzania* z roku 1596.

Walkę mowy narodowej ze starosłowiańszczyzną zauważyć można od samego początku piśmiennictwa na Rusi, albowiem im mn ej przepisywacz był uczony, tem bardziej posługiwał się językiem, którego używał on i jego otoczenie. Jeszcze znaczniejszym był dostęp języka ruskiego do utworów treści świeckiej w rodzaju pamiętników oraz.... „Słowa o pułku Igora". Zasadnicza przyczyna owej walki ma początek w pokrewieństwie mowy starosłowiańskiej z językiem ruskim, czego następstwem była specyalna t. zw. redakcya ruskiej cerkiewnosłowiańskiej mowy. Walka ta bardziej powszechną i płodną w następstwa stała się w drugiej połowie XVI. wieku, do czego usposabiał ją ruch reformacyjny na Rusi. Wprawdzie nikt nie odważył się wprowadzić do liturgii żywej mowy narodu, ale też język narodowy zyskał wiele ustępstw. Jak na zachodzie według mniemania ogółu językiem kościelnym mógł być tylko łaciński, (a Skarga twierdził, że dla Rusinów może być nim język grecki), tak na Rusi według ogólnych zapatrywań i powinien być język starosłowiański, który „pered Bohom czestnijszyj jest ot jełłynskaho i łatynskaho". Ażeby utrzymać ów język w czystości, koniecznemi były szkoły, gdzieby uczono starosłowiańszczyzny na podstawie odpowiednich podręczników. Pierwszy taki podręcznik wyszedł w Wilnie 1586. r. z drukarni Mamoniczów.

Około tego czasu Adam Bohorič, Słowieniec, w swej gramatyce „Aretivae horulae succesivae" poruszył sprawę języka i pisowni ruskiej. Lecz jakkolwiek rozróżnia dwa terminy, jeden na oznaczenie Rosyan „moschoviticus", drugi na oznaczenie Rusinów „ruthenicus", ma przecież na myśli język kościelny, wspólny obu narodom.

Jakkolwiek gramatyka z roku 1586. była przeznaczoną na podręcznik szkolny, przecież z powodu swej krótkości, niedokładności i chaotycznego układu, do tego celu się nie nadawała. Temu zadaniu z tych samych przyczyn nie odpowiedziała i wydana w 1591. r. Ἀδελφοτης, dlatego Ławrenti Zyzani, dydaskal brackiej szkoły stauropigijskiej, podjął się napisania nowej.

Badania dotychczasowych uczonych, wśród których znajdują się imiona Jagića, Greča, Wiszniewskiego, Sacharowa, Bylicza, Zasadkiewicza, J. Bartoszewicza, Charłampowicza, Oho-

nowskiego i Zyteńskiego, dadzą się sprowadzić do dwóch punktów: 1) do krótkiego podania treści — a właściwie wyliczenia gramatycznych terminów i 2) do porównania jej z gramatyką „Adelfotes“.

Nagłówek gramatyki brzmi: Hramatyka słoweńska zwerszenna iskustwa ośmy czastij słowa... Ławrentia Zyzania w drukarni brackoj — na odwrotnej stronicy widoczny obrazek, przedstawiający człowieka nieuczonego, który trzyma w lewej ręce klucz. Pod obrazkiem umieszczony dwuwiersz: „Prożno tu sia kusysz pyśmo umity, kotorij nechocz mene rozumity“. Następujący dalej epigramat wyjaśnia poglądy na znaczenie gramatyki. Te ostatnie wskazują na zapożyczenie z gramatyki grecko-słowiańskiej Adelfotesa z roku 1591. O przeznaczeniu tejże gramatyki do użytku szkolnego świadczy już samo „Posłanie spudeam“.

Definicya gramatyki jest prawie dosłownem przetłómaczeniem z Donata i z tych, które na nim się opierają. Podział na cztery części: ortografię, prosodyę, etymologię i składnię — jest wspólny ze wszystkiemi ówczesnemi gramatykami. Ortografii określenie zaczerpnięte z Melanchtona gramatyki łacińskiej, jakkolwiek zbliża się również do określenia Romeria. Ortografia Ławrentia Zyzania wylicza 11 samogłosek, w których rozróżnia: dołhaja, kratkaja i dwowremennaja, w czem idzie za Adelfotesem. Owe powyżej wykazane terminy odpowiadają greckim: *μακρά*, *βραχέα* i *δίχρονα*, a łacińskim: longae, breves i ancipites. Spółgłosek jest 25 i „jedyn jer“. Tu znowu podział na „prostaja surublja“ — nazwa pierwszych pochodzi od tego ‚szczo ni okych innych stojatsia, no sami o sebi sut“, drugich „poneże ne sami o sebi, no o innych pysmeń stojatsia“. Wreszcie są cztery dwugłoski, którym daje takie miano, „poneże dwi pyśmi hłasnych zwoku piszusia stawliajut jedyne pyśmo“.

Drugą częścią jest tak, jak u Melanchtona, prosodya. Znaków prosodyi rozróżnia sześć, podczas gdy inne gramatyki (greckie) mają dziesięć. Definicya zgodna nieco z początkiem Teodozyusza, w dalszym składzie zbliżona do Adelfotesa, a raczej do Liaskarisa. Za najbliższą możnaby uważać Moschopula, której termin *ἡ μονογράμματος* zastępuje Ławrenti Zyzani słowem „Ujedunenie“.

Trzecia część obejmuje etymologię i składnię, oraz dodatek do wierszowania. Zakończenie tworzy rozbiór i objaśnienie Modlitwy Pańskiej, — co tak często spotyka się w gramatykach łacińskich.

Jeżeli weźmiemy stronę narodową pod rozbiór, przekonamy się, iż Gramatyka Ławrentia Zyzania co do terminologii stoi w bliższym związku z językiem ludowym, aniżeli gramatyka Smotryckiego i Adelfotesa.

Oprócz tej pracy znajdujemy dalszy ciąg ciekawego studyum **Jana Dżydzory:** *Ekonomiczna polityka rosyjskoho prawytelstwa suproty Ukrainy w latach 1710—1730*, o której pisaliśmy już w zeszycie za miesiąc sierpień i wrzesień.

Obecnie nasuwa się pytanie, kto brał czynny udział w handlu ukraińskim. Wyżej wykazanem było, iż wywozem wołów zajmowali się przedewszystkiem bądźto hodowcy, bądźto wyżsi urzędnicy państwowi. Ale

obok nich zaczyna się tworzyć, a raczej z nich wydzielać warstwa, która zajmuje się hurtownem skupywaniem wołów, aby je potem wywieść za granicę. Ci chwycili w swoje ręce niejako monopol handlu wołami, zasłaniając się siłą administracyjnej władzy. W rzędzie takich przedsiębiorców były takie osobistości, jak sam hetman Skopodarski, właściciel dóbr Menszikow, pułkownik Potubotok, oraz buńczuczny Hugowicz. Przytem brali udział w tem dawni mieszczanie miast Kijowa, Staroduba, Czernichowa, Niżyna, a po części i Połtawy, w dalszej linii także mieszkańcy innych miast, a również i włościanie. Rozróżnić należy jednak dwa rodzaje kupców: jednych, którym przysługiwała powyższa nazwa, i drugich mieniących się „handlowymi ludźmi" i kramarzami. Różnica polegała na wielkości kapitałów, a co za tem idzie na wartości i rodzaju towaru, oraz na odległości rynków zbytu. Z handlu tego korzystali niepomiernie jeszcze ci, którzy sprzedając na miejscu własne produkty gospodarstwa domowego, służyli jako przewodnicy kupcom bądź ukraińskim, bądź obcym.

Jak daleko sięgał ten handel ukraiński? Mamy wzmianki o Holandyi i Francyi; stałych jednak podstaw do takiego twierdzenia niema.

Dotychczas zajmowaliśmy się eksportem, który tworzy tylko jedną stronę tego handlu; obecnie będzie mowa o imporcie towarów na Ukrainę, obejmującym olbrzymi dział towarów fabrycznych. Obok sukna śląskiego, angielskiego i holandzkiego, widzimy wyroby do codziennego użycia potrzebne: noże, kosy, sierpy, a przedewszystkiem miedź, zużytkowywaną na dzwony oraz kotły do gorzelni.

Aby mieć pojęcie o ilości towarów przywożonych na Ukrainę, dość przytoczyć w braku dokładnych statystyk towarów, niektóre wzmianki o ich wartości. I tak Wasyl Ławryk, wracając z Wrocławia, wiezie towary zakupione wartości 8.000 złotych pol.; Maksym Hrudyna za 6.000 zł. pol. — a gdy uwzględnimy pretensye wojewody Pocieja do Połubotyka w kwocie 40.000 zł. pol., możemy sobie wyrobić pojęcie o zakresie i ogromie importu z zagranicy do Ukrainy.

Przeszkodą dla tego handlu, tak importu, jakoteż eksportu, była przedewszystkiem sąsiednia Polska, przez którą dążyły karawany kupieckie na zachód. Tu bowiem brak kompletny na początku XVIII. wieku organizacyi jakiejkolwiek sprawiedliwości zdawał kupców zagranicznych na łaskę lub niełaskę szlachty i panów polskich — z którymi traktaty handlowe były nie zawsze trwałe i nie zawsze dające gwarancyę bezpieczeństwa. Obok tego bardzo szkodliwemi były komory celne, będące w rękach żydowskich. Nawet rząd rosyjski, który w tym czasie miał przewagę w Polsce, nie załatwił tej sprawy tak, jakby się tego spodziewać było trzeba, a wszelkie zażalenia na jego ręce podawane nie otrzymywały nawet odpowiedzi.

Polityka, jaką kierował się Piotr Wielki względem handlu ukraińskiego, wypływała ze stanowiska Rosyi, jako państwa już nowożytnego. Trzymając się systemu merkantylnego, powszechnego w całej zachodniej wówczas Europie, stosował do tego swoje ukazy względem handlu Ukrainy z zagranicą.

Zabronił wywozić za granicę towary, nakazując tem samem eksportować do portów rosyjskich; wstrzymał też import niektórych zagranicznych

towarów na Ukrainę. Chodziło rządowi o to, by z handlu ukraińskiego wyciągnąć korzyści dla skarbu; gdyby zaś pozwolono „hetmańszczyźnie“ na handel na własną rękę, skarb nie miałby z tego dochodu. Z każdym rokiem przeto zmniejszano zakres towarów, mogących być wywożonymi oraz importowanymi na własną rękę przez kupców ukraińskich. Odtąd zmuszonym został handel, dawniej wolny na Ukrainie, do obracania się tylko w granicach państwa rosyjskiego. Pobudki, jakie skłaniały rząd do tego ograniczenia handlu ukraińskiego, wypływały z wielu przyczyn: z systemu merkantylnego i z potrzeby zmonopolizowania handlu w celach skarbowych, ale najważniejszem było podniesienie przemysłu i handlu rosyjskiego przez pognębienie i ograniczenie ukraińskiego. Największą klęską dla tego ostatniego były wysokie myta, dochodzące od 5—10%, zależnie od wartości i rodzaju towaru. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż przedtem opłacano przy transporcie przez kraje polskie tylko 2% — to przekonamy się, czem były dla handlu nowe ukazy i taryfy. Wprawdzie rząd później zmniejszał odpowiednio, a wreszcie w roku 1731. wydał nową taryfę, ale mimo to kupcy ukraińscy, nie związani w żadne stowarzyszenia, czego dobro wspólne wymagało, nie mogli wytrzymać konkurencyi ze strony rosyjskich, których i tak popierała protekcya rządu.

W dziedzinę stosunków rusko-polskich sięgają dwie następne prace. Pierwszą jest **Włodzimierza Radzykiewicza** p. t. *Pawłun Święcicki; publicystyczna naukowa, ta literaturna joho dijalnist.*

Paweł Święcicki, znany i popularny w ruskiej literaturze sześćdziesiątych i siedmdziesiątych lat ubiegłego stulecia, wydaje się nam bardziej interesującym nie ze względu na jego zdolność piśmienniczą, a nawet na same twory literackie; ciekawym jest ze wszech miar jako szerzyciel idei federacyi dwóch narodów: Rusinów i Polaków.

Urodzony w Warszycy, w gubernii kijowskiej, w roku 1841., pobierał początkowe nauki w domu, a później w Kamieńcu Podolskim, gdzie też ukończył gimnazyum. Po skończeniu nauk w szkołach średnich zapisał się w r. 1860. na uniwersytet kijowski.

W Kijowie w tym czasie młodzież obudzona z długiego letargu, postawiła sobie za cel podnosić lud, oświecać go i wyrwać z kajdan niewoli, w jakiej jęczał wieków tyle. Ruch ten skierowany był przedewszystkiem w stronę ludu ruskiego, a ci, którzy go propagowali, należeli do narodowości polskiej i rekrutowali się ze wszystkich niemal ziem Rzpltej (Wołynia, Podola, Ukrainy, Korony i Litwy). Skutkiem tego właśnie zapanowała jednak w niektórych wypadkach różność myśli. „Chłopomanie“, gdyż tak nazywano tych, którzy do ludu zbliżyć się usiłowali, rozpadli się na dwa stronnictwa: Gromadę i Ogół. Obok tego polityka Królestwa Kongresowego w przededniu wybuchu powstania oddziałała na jedność Ogółu i rozbiła go na dwa obozy, na Polaków-Rusinów, myślących o Ojczyźnie w dawnych historycznych granicach i na Koroniarzy, mających tylko dobro Królestwa na względzie. Ruch ten porwał i Święcickiego, obdarzonego z natury umysłem ochoczym do takich czynów i postawił go w rzędzie tych, którzy cichą i spokojną a obfitą w następstwa pracą stali na czele młodzieży kijowskiego uniwersytetu.

Wreszcie nadeszła chwila powstania. Polacy - Rusini podjęli również walkę w celu nadania teraz realnych kształtów owej wolności ludu, o której marzyli i którą przygotowali pracą oświatową. Święcicki, jakkolwiek nie brał czynnego udziału w powstaniu, jednak mógł się przekonać o tem, iż ten lud, który oni ukochali, okazał się niewdzięcznym. Mimo to ideałów swych się nie wyrzekł, owszem utwierdził się o ich potrzebie i tem usilniej pracował na gruncie galicyjskim, gdzie go losy rzuciły.

Ideały swoje pragnął zaszczepić Święcicki i w Galicyi. Wstępuje do teatru ruskiego, bierze czynny udział w występach scenicznych, stara się o rozszerzenie repertuaru teatralnego i w tym celu bądź przekłada z innych języków, bądź pisze własne oryginalne utwory w języku ruskim. Jako artysta zasługuje na poklask publiczności ruskiej, która dzięki jemu coraz bardziej poznaje, czem jest, i coraz bardziej lgnie do swego. Niewiadomo tylko, z jakich pobudek opuścił Święcicki w 1865. r. teatr ruski, a potem wstąpił do polskiego. Prawdopodobnie powodem było nieporozumienie z dyrekcyą teatru.

Ażeby mieć pojęcie o działalności dramatycznej Święcickiego, należy przyjrzeć się choć pokrótce jego utworom. Przerabiał lub tłómaczył „Cyganów", „Okno na pierwszem piętrze" Korzeniowskiego, I-szy akt „Hamleta" i „Katarzynę" (Ugłaskanie sekutnicy") Szekspira, Fredry „List", oraz kilka francuskich („Młoda wdowa", „Chleb za chleb").

Opuściwszy teatr, szukał Święcicki nowych dróg, aby módz oddziaływać na umysły rodaków w celu wyjednania w ich sercach prawa dla tych, którym się one należały, jak twierdził, z tej już przyczyny, aby zmyć przewiny dawne. Dlatego przerzuca się na pole publicystyki. Organ jego i zwolenników jego *Sioło*, odnoszące się zawsze z największemi sympatyami do Rusinów, wzięło sobie za cel zapoznawanie szerszych kół społeczeństwa polskiego w Galicyi z rzeczami ruskiemi. Umieszcza na swych szpaltach dziennikarskich utwory z ruskiej literatury, wykazuje ich piękność i stawia wyżej od utworów Dantego i Schillera (sic!). Broni odrębności narodowości ruskiej nietylko od polskiej, ale i od rosyjskiej i przypisuje Rusi rolę pojednawczą pomiędzy Rosyą a resztą Słowiańszczyzny. Dlatego nawet polemizuje z Szafarzykiem.

Ale nie zdziałał tego, co zamierzył i czego się spodziewał. Sami Rusini nie wierzyli w prawdziwość jego słów, a tembardziej społeczeństwo polskie i jego współpracownicy. Zmuszony do zaprzestania wydawnictwa *Sioła*, — pisał w tym samym duchu w innych dziennikach polskich, w *Dzienniku literackim* i *Nowinach*, a wreszcie ta sama myśl dźwięczała również, gdy stanął na stanowisku redaktora *Nowin*. Zawsze i wszędzie myślą jego przewodnią był upadek moskwicyzmu w Galicyi, który zwalczał niemiłosiernie piórem. „Wielka siła ukraińskiej narodowości, której moc przetrwała niszczące burze najazdów, istnieje i istnieć będzie".

W roku 1869. przestał redagować *Nowiny*. Przez protekcyę Gołuchowskiego otrzymał posadę zastępcy nauczyciela języka ruskiego w gimnazyum, na podstawie egzaminu przed Miklosičem, profesorem lingwistyki porównawczej w Wiedniu. Otwierała się mu droga do katedry uniwersyteckiej z tej dziedziny, opróżniona po Głowackim. Lecz stało się inaczej i Święcicki pozostał nauczycielem gimnazyalnym. Zawód

swój pojmował głęboko, — wszczepiał w dusze młodzieży miłość do upośledzonych i pokrzywdzonych, a przykładem ze swej strony służenia im, pociągnął i sporą garstkę młodzieży. Jako profesor ruskiego języka starał się o rozwój jego terminologii, do której sam się wiele przyczynił. Koło historyi literatury nie małe położył zasługi, a poglądy na nią wyłożył w „Wik XIX. u dijach literatury ukraińskoji“, gdzie okazał znajomość języka, historyi i literatury. Słusznie zauważył Grzegorzewski, „że utwór jego musi być uważanym za drogowskaz dla tych wszystkich Ukraińców, którzy chcą pracować nad wykształceniem i rozwinięciem swego języka“.

Ciekawe światło na stosunki kulturalne ruskie pod koniec XVIII. w. rzuca artykuł **Iwana Kreweckiego:** *Neoprawdani dokory. Do istoryi t. z. „Ruskoho instytutu“ (Studium ruthenum) na lwiwskim uniwersyteti.*

W roku 1787. został założony na lwowskim uniwersytecie instytut ruski, zwany Studium ruthenum, na którym miano wykładać nauki teologiczne i filozoficzne w języku ruskim. Wykłady trwały do 1803. r., w tym zaś roku zamknięto pierwszy rok filozofii, poczem w 1804. roku drugi — a w r. 1808. instytut zniesiono.

Gdzież więc należy szukać przyczyn tak krótkiego istnienia tego zakładu, oraz jego zamknięcia?

Odpowiedź na to pytanie starało się dać wielu uczonych. Pierwszy J. Lewicki w r. 1834. wyraził się, że przyczyną tego byli sami Rusini, którzy mając sobie za ujmę, że nie słuchają filozofii i teologii w języku łacińskim, do jego zniesienia sami się przyczynili. Dr. J. Harasewicz zaś przypisuje winę arcybiskupowi ormiańskiemu Szymonowiczowi, a zwłaszcza wszystkim Ormianom, którzy chcąc obsadzić uniwersytet swemi siłami naukowemi, użyli wszystkich środków, by znieść owo „studium ruthenum“. J. Głowacki obwinia Polaków, twierdząc, że robiąc różnicę pomiędzy słuchaczami i profesorami uniwersytetu z jednej, a studentami i profesorami instytutu ruskiego z drugiej strony, odstręczali młodzież ruską od niego — a przytem starali się o jego zniesienie pod pokrywką przychylności ku Rzymowi. Utartym śladem trzech wyżej wymienionych posunął się O. Ogonowski w swej „Historyi ruskiej literatury“ — żałuje, że Rusini nie umieli wyzyskać tak ważnej dla nich sił naukowych — że nie wprowadzili języka narodowego, posługując się starosłowiańszczyzną, oraz domagali się zaprowadzenia wykładów po łacinie, uznając wyższość łaciny. Iwan Franko uderzał na scholastyczny kierunek wykładów. Te wszelkie bezpodstawne zarzuty wkradły się i do podręczników szkolnych (w Literaturze Barwińskiego).

Ze wszystkich jednak zdań zaważyło najwięcej najniesprawiedliwsze zdanie Lewickiego, przypisujące winę Rusinom. Zarzut ten wydaje się prawdziwym tylko na pozór. Również zarzut czyniony wykładom udzielanym w języku starosłowiańskim, (a nawet jak chce Ogonowski: „cerkiewno-słowiańsko-rosyjsko-polsko-ruski“) nie wytrzymuje krytyki, gdyż w pierwszym rzędzie języka takiego używano wtedy powszechnie w pismach ruskich, a powtóre instytut był tylko dla pewnej kategoryi słuchaczów teologii, którzy byli zmuszeni z braku studyów gimnazyalnych słuchać tych, a nie innych wykładów. Zresztą taka sama scholastyczność

i martwota panowała w owym czasie i na łacińskich wykładach uniwersytetu.

Przyczyny leżą gdzieindziej, a mianowicie w celu i w okolicznościach, które powołały instytut do życia.

Od czasu jak Galicya przeszła pod panowanie austryackie, dawał się odczuwać brak duchowieństwa grecko-katolickiego: rząd austryacki pozwolił tedy sprowadzać wyświęconych w Chełmnie kleryków, którzy nieposiadali odpowiedniej kwalifikacyi, a święcenia otrzymywali za pieniądze. Po największej części byli to ludzie z wykształceniem nabytem w 4 klasach „normalnych“ (t. j. 4 klasową szkołą ludową). Rozumie się, że Kościół ponosił szkodę; dlatego też za staraniem episkopatu grecko-katolickiego, rząd, który w tym czasie wiele wprowadzał reform, zapobiegł i temu, otwierając, jak zaznacza wyraźnie dekret Kancelaryi Nadwornej z 9. marca 1787.: „eine provisorische Lehranstalt in der ruthenischen Sprache“.

Z tego więc widać, że instytut ten tylko czasowo dla zapobieżenia brakowi duchowieństwa miał istnieć. Dostęp do niego był dozwolony mającym 4-tą klasę normalną, to znaczy takim, którzy nie posiadali ani nawet początków języka łacińskiego. Ponieważ jednak obok teologii potrzebna była filozofia, dlatego wprowadzono też dwa lata filozofii. Taki był początek tego instytutu.

Różnica dzieląca duchownych wychowanków instytutu a absolwentów uniwersytetu — leżała też w płacy, którą pobierali, a mianowicie: Paroch z uniwersytetu łacińskiego pobierał 300 srebrnych rocznie dochodu, podczas gdy paroch z instytutu ruskiego mógł otrzymać 180; również awans był przed tymi ostatniemi zamknięty, dostawały się im tylko mniejsze parochie, a to w tym celu, ażeby zmusić innych kandydatów do stanu duchownego do uczęszczania na uniwersytet. Chcąc jeszcze skuteczniej oddziałać, wysyłał rząd upomnienie do grecko-katolickich duchownych, wzywając ich, aby dzieci posyłali do gimnazyum, a potem na uniwersytet. Te upomnienia powtarzające się rok rocznie, poprzedziły bezpośrednio w roku 1804. zniesienie II. roku filozofii.

Teraz przypatrzyć się należy, czy rzeczywiście wina spada na Rusinów, którzy z niechęcią odnosili do „instytutu“. Z przeglądu ostatniego wywodu, przekonać się można, iż to wcale nie zależało od ochoty lub nie, bo było tymczasowe, a gdy instytut zrobił swoje, przestał być potrzebnym, a byłby nawet szkodliwym dla duchowieństwa i samych Rusinów, gdyż nie dawa. takiej oświaty, jak rzymsko-katolickim księżom gimnazyum i uniwersytet.

Obok tych szerzej omówionych rozpraw, zasługują jeszcze na wspomnienie: **Jana Sozańskiego** (ciąg dalszy) *„Z mynuwszyny mista Brodilo*, — tudzież **Iwana Franka** (również ciąg dalszy) *Studii nad ukraińskimy narodnimy piśniomy.*

Oba tomy zamyka bardzo bogaty dział recenzyi, notatek, oraz uwag biograficznych. *Jerzy Dmytrow.*

Korrespondence a zapisky Frant. Ladislava Čelakovského, vydal **František Bilý.** Praha 1910—1911, 4-o, str. 619.

Bardzo ciekawem i godnem poznania jest wydawnictwo czeskiej Akademii Umiejętności p. t. Sbirka pramenuv ku poznani literar-

niho života v Čechach, na Moravěa v Slezsku (Zbiór źródeł do poznania życia literackiego). Ogłaszane są w niem korespondencye wielkich mężów doby odrodzenia, którzy pracując usilnie dokoła odbudowy rodzimej kultury i stojąc na stanowisku patryotyzmu czesko- słowiańskiego starali się także i inne ludy słowiańskie rozbudzić i wciągnąć w wir życia kulturalnego. Dlatego to korespondencye ich mają nietylko znaczenie cennego źródła do poznania najciekawszego okresu w dziejach i literaturze czeskiej, lecz także posłużyć mogą do zbadania wzajemnych stosunków ludów słowiańskich na polu literackiem. Dotychczas wydano: Vzájemné dopisy Josefa Dobrovského a Fortunata Duricha z lat 1778-1800, w opracowaniu Adolfa Patery, Korespondencye Franciszka Palackiego, Karola Vinařickiego, Józefa Dobrovskiego a także i Jana Amosa Komenskiego, niedawno zaś pojawiły się listy Franciszka Čelakowskiego, (*1799—†1852) z lat 1829-1842, dotychczas nie znane i nie objęte wydaniem pośmiertnem.

Na polu literatury narodowej wystąpił Čelakovsky w 1822 r. z tomikiem oryginalnych poezyi p. t. Smišené básně, oraz tomem pierwszym zbiorku „Slovanske narodni pisně“, w oryginałach z dołączeniem przekładn. Tomik drugi wyszedł 1825 r. i był przypisany Kaz. Brodzińskiemu. Od r. 1835-1837 redagował gazetę *Pražske Noviny* wrazz dodatkiem beletrystycznym *Česka Včela.* W 1835 r. mianowano go profesorem języka i literatury czeskiej w uniwersytecie praskim, ale już po dwu latach dano mu dymisyę. W 1842 r. został wezwany do uniwersytetu wrocławskiego na nowo utworzoną katedrę filologii słowiańskiej, ale w 1849 r. przyzmia nie prądów politycznych wrócił do Pragi i w uniwersytecie objął katedrę gramatyki porównawczej języków słowiańskich.

W ciągu całego ruchliwego życia działał w duchu czesko-słowiańskim i zajmował się żywo tak literaturą rodzimą jak i innych ludów słowiańskich. W szeregu osób, z którymi utrzymywał naukową korespondencyę, znajdują się nietylko wybitne osobistości czeskie, jak Józef Chmelenský, Franciszek Kamaryt, Józef Kamaryt, Palacky, Józef Planek, Jan Purkynie, Szembera, Karol Vinařicky, lecz także i przedstawiciele innych narodów słowiańskich, jak: Hanusz, Köppen, A. S. Szyszkow, Prešern, Stanko Vraz, Matija Čop i inni.

W rzędzie tych, którzy pisali do Čelakowskiego, zasięgając u niego informacyj, spotykamy Czechów np. Sebastyan Hněvkovsky, Józef Chmelensky, Józef Kamaryt, Józef Planek, Jan Purkynie, Franciszek Slama, Karol Vinařicky, — ze Słowaków: Jan Kollar, — z Łużyczan: Andrzej Zejler, — z Rosyan: Piotr Dubrowskij, Piotr Köppen, Srezniewskij, — ze Słowieńców: Franciszek Preszern, Stanko Vraz, — z Polaków; Adam Gorczyński, Emil Korytko, Andrzej Kucharski, A. Maciejowski.

Treść tych listów rozmaita, potrąca przeważnie sprawy naukowe. Przez Prešerna, Vraza, Srezniewskiego informuje się Čelakovsky o stanie literatury illyryjskiej, zwłaszcza o pieśniach ludowych. Köppen z polecenia cesarskiej akademii rosyjskiej stawia mu warunki, na których mógłby zostać współpracownikiem słownika narzeczy słowiańskich; Kollar zaś oświadcza się z gotowością odstąpienia mu do jego pracy swego zbioru

przysłów, których z powodu nawały pracy nie może wydać. Rosyanin zamieszkały w Warszawie, Piotr Pawłowicz Dubrowskij w liście datowanym z 1839 r. donosi mu o zamiarze wydawania od r. 1840 czasopisma rosyjskiego, któreby było ogniskiem wzajemności literackiej Słowian i prosi o współpracownictwo. Prośbę jego popiera Wacław Maciejowski. Z natury rzeczy najwięcej zaciekawiają nas listy od Polaków. Adam Gorczyński, gospodarz, malarz i pisarz, w liście z 1835 r. dzięki je za przesłany mu przekład czeski Agaj-Hana i stosownie do życzenia Czelakowskiego donosi mu o innych utworach Zygmunta Krasińskiego i o stanie literatury w kraju i na emigracyi. Andrzej Kucharski z Dubrownika w 1829 r. zawiadamia Czelakowskiego, swego „kochanego przyjaciela“, że zbiera jeszcze dla niego pieśni ludowe, choć chorwackich, kraińskich i „windyckich“ ma już dosyć. Zapytuje się go także, jakiej pisowni będzie się trzymał przy pieśniach łużyckich.

Nieszczęśliwy emigrant, Emil Korytko, pisze do czeskiego pisarza z Lublany, prosząc o udzielenie „wsparcia i porady młodemu poświęcającemu się literaturze słowiańskiej“, w przedsięwzięciu naukowem. „Oddalony od braci moich rodzimych — brzmią jego słowa — poczytuję się jeszcze za szczęśliwego, że mnie los rzucił w kraj Słowianów Kraińców, w kraj nam pobratymczy. W Lublanie starałem się za pomocą dobrego przyjaciela, Dr. Prešerna i innych zebrać wiadomości, tyczące się zwyczajów, obyczajów, strojów i zabobonów tutejszego ludu“. Pracę swoją zamierzał Korytko oprzeć na porównawczem tle ogólno-słowiańskiem i w tym celu udawał się do Czelakowskiego z prośbą o informacye o zabobonach i medycynie ludowej czeskiej

Obfitej treści zawartej w nowo wydanej korespondencyi Czelakowskiego w żaden sposób nie można omówić w pobieżnem sprawozdaniu. Wiele w niej jest materyału nawet do osobnej rozprawy tak z dziejów czeskiego, jak i ogólno-słowiańskiego odrodzenia, w którem przewodnią rolę grali uczeni czescy, skupiając wokół siebie duchowymi węzłami pracowników na niwie slawistyki z pośród wszystkich prawie ludów słowiańskich.

ek.

В. А. ФРАНЦЕВЪ. Проектъ польско-славянскаго ученаго общества. С. Б Линде. Warszawa 1911, 4°, str. 13. (W. A. **Francew**: *Projekt polsko-sławianskago uczenago obszczestwa. S. B. Linde*).

Pierwszych przedstawicieli słowianoznawstwa w początkach XIX stulecia żywo zajmowała myśl stworzenia ogniska słowiańskiej nauki. Tak jeszcze w 1793 r. Słowak Ribay rozpatrywał szczegółowo plan naukowego towarzystwa dla badania historyi, literatury i języka Słowian węgierskich. W parę lat później znowu w 1806 r. czeski slawista Jungman snuł projekty założenia wielkiego towarzystwa słowiańskich uczonych, któreby miało współpracowników i przedstawicieli we wszystkich ziemiach słowiańskich. Szczególnie silnie zaprzątnęła ta myśl Kopitara, który w korespondencyi z Dobrowskim z 1810 r. wypowiedział swoje zapatrywania w tej kwestyi. Radził on Dobrowskiemu wydawać czasopismo *Slavin,* wokoło którego mogłaby się z czasem skupić Akademia słowiańska, nie w Pradze, lecz w Wiedniu, gdzie jest „der Tummelplatz der Slawen aus Süd und Nord,

West und Ost". Wszystkie jednakże te plany i projekty wytworzenia szkoły ogólno-słowiańskiej nie miały widoków zrealizowania i nie udawały się, gdyż były jeszcze za wczesne, albo — jak n. p. myśl wytworzenia jednego języka słowiańskiego -- nie odpowiadały stosunkom realnym i miały charakter li tylko fantastyczny.

Pod wpływem idei czeskich uczonych powziął także i Linde zamiar założenia polsko-słowiańskiego towarzystwa. Szkic ustaw i program działalności tego towarzystwa, zatytułowany: „Pierwszy rzut zasad Towarzystwa polsko-słowiańskiego" wydał z rękopisu w wymienionej w nagłówku broszurze F r a n c e w, autor cennej pracy o polskiem słowianoznawstwie z końca 18 i pierwszej ćwierci 19 stulecia.

Jest to interesujący waryant ogólnej i swego czasu szeroko rozgałęzionej myśli w początkach zeszłego stulecia zorganizowania ogólno-słowiańskiego naukowego centrum. Do rzucenia tego wielkiego projektu skłoniła Lindego chęć rozwinięcia języka polskiego z pomocą pobratymczych i pogłębienia w ten sposób swego S ł o w n i k a j ę z y k a p o l s k i e g o. W skład towarzystwa miał wchodzić Rosyanin, Czech, Chorwat, Słowieniec i Polak Celem pracy tego towarzystwa — jak określał Linde — powinno być udoskonalenie mowy polskiej przez dyalekta pobratymcze tak pod względem gramatycznym, jak też co do zbogacenia w słowa i wyrazy; — drugim celem ułatwienie Polakom uczenia się i zrozumienia mów pobratymczych i nawzajem ułatwienie pobratymcom uczenia się języka polskiego, co tem jest potrzebniejsze, iż u nich język nasz zupełnie jest zaniedbany; — dalszym celem, który może jeszcze być przyszłości zostawiony, jest wzajemne zbliżenie się rozmaitych „dyalektów" do jednego języka piśmiennego.

Skutkiem prac Towarzystwa, gdyby celów swoich dopięło, byłoby według Lindego: 1) uzupełnienie, udoskonalenie i wykształcenie polszczyzny; 2) z polszczyzny udoskonalenie innych dyalektów; 3) zapewnienie polszczyźnie przewagi w utworzeniu ogólnej mowy słowiańskiej za powstaniem Dantów, Petrarków, Boccaciów słowiańskich. Nimby do tego przyszło, zamierzał Linde wydawać arcydzieła literatury polskiej w dwu tekstach: polskim języku na jednej stronie i w nowo utworzonej ogólnej słowiańskiej mowie na drugiej stronie. Pragnął także utworzyć Linde przy Towarzystwie bibliotekę słowiańską, jednakże tak ten plan, jak i wszystkie inne z nim związane, nie weszły nigdy w życie.

ek.

KRONIKA.

† **Grzegorz Smólski,** jeden z najgorliwszych od samego początku popleczników *Świata Słowiańskiego*, zmarł w Wiedniu dnia 5. grudnia.

Wybitny publicysta, pełen zasług w rozwoju prasy polskiej; on pierwszy dał inicyatywę w r. 1873 do zorganizowania systematycznych korespondencyj z Wiednia. Był żywą kroniką parlamentaryzmu polskiego w Wiedniu. Bardzo zdolny, był zarazem niezmiernie pracowitym; odznaczał się zaś charakterem podniosłym, który uznawali w nim wszyscy bez względu na stronnictwa.

Pchając taczkę dziennikarską przez lat niemal 40, nie dopuścił, by się przy niej zmarnować. Silniejszym był

nad okoliczności życia, nie zatracił do samego końca świeżości ducha i zamiłowania do pracy poważnej, zakrojonej na większą skalę. Miał zamiłowanie do badań etnograficznych dyalektologicznych i do prahistoryi słowiańskiej. Długim jest szereg obszerniejszych jego prac z tych dziedzin — przyczem uwzględniał szczególnie zachodnie kresy polskie.

Kilka rozpraw ogłosił też w *Świecie Słowiańskim*. Niedawno nadesłał nam nową pracę o śladach Słowiańszczyzny w Bawaryi. Miała być umieszczoną w zeszycie na luty 1912; gdy jednak — niestety — staje się pracą pośmiertną, przyspieszymy jej ogłoszenie i wyjdzie już w najbliższym zeszycie styczniowym.

Cześć pamięci człowieka dobrej woli! Śp. Grzegorz Smólski nie używał nigdy pióra po sobkowsku, nie pomyślał nigdy o własnej korzyści z cudzą szkodą, nie należał do żadnej koteryi dziennikarskiej. Jedna towarzyszyła mu zawsze troska i cała zarazem jego ambicya: żeby być pożytecznym. Należał pod tym względem do ludzi najbardziej kulturalnych w naszem społeczeństwie; boć czyż nie na tem polega istota kultury indywidualnej?

W gronie współpracowników *Swiata Słowiańskiego* był Nestorem — dożył 67. lat wieku swego. Uważano go atoli powszechnie za młodszego o jakie 10 lat — tak był czerstwy, nader przedsiębiorczy, pełen inicyatywy i zapału.

Czeska kronika.

Nowe kruczki przeciw „lex Perek“. Lex Perek, postanawiająca, że na Morawach dziecko może uczęszczać jedynie do tej szkoły, której język wykładowy rozumie, zanim się zapisze, zawiodła nadzieje czeskie, albowiem Niemcy używają wszelkiego rodzaju kruczków, aby jak najwięcej dzieci czeskich przeciągnąć do swych szkół. Starano się temu nadużyciu zapobiedz: rozporządzeniem Stürgkha z 1. sierpnia 1911 r. zostali przypuszczeni do egzaminów językowych także i zastępcy miejscowych rad szkolnych, jakkolwiek z tem zastrzeżeniem, że im nie wolno zadawać pytań. Ponieważ jednak pytania są szablonowe, a odpowiedzi z góry przygotowane, położenie Czechów się nie poprawiło, zwłaszcza, że wobec nacisku pracodawców Niemców, robotnicy czescy posyłają gromadnie swe dzieci do szkółek freblowskich niemieckich, tak, że po trzech latach dziecko umie rzeczywiście na tyle, żeby zdać ów egzamin językowy. Zastępcy miejscowych rad szkolnych wprawdzie wnoszą rekursy i reklamacye, ale napróżno: według ustawy wprawdzie załatwione być muszą w ciągu 4. tygodni, tymczasem Niemcy używają wszelkich środków, aby te terminy jak najbardziej przedłużać, tak, że zanim odpowiedź nadejdzie, dziecko już na tyle umie po niemiecku, że uczyni zadość formalnym wymaganiom ustawy, zresztą szeroko interpretowanej.

Szkoła z 11. uczniami. Pisma morawskie publikują „list otwarty do namiestnictwa i wydziału krajowego“, wydany przez Czechów, zamieszkałych w Stadle, gminie niemieckiej, w powiecie szternberskim; w samym jednakże powiecie większość jest Czechów. Otóż w tym liście zwracają uwagę na swoją półtoraroczną walkę za pomocą rekursów przeciwko usiłowaniom miejscowej zwierzchności, aby mimo większości podatników czeskich Niemcy utrzymali władzę. Z pomocą niemieckiego „Bundu“ założono w Stadle niemiecką szkołę, która ma ośm miejscowych uczniów, a trzech wypożyczonych; są to sieroty, sprowadzone umyślnie przez „Bund“. A tę szkołę przejęły obecnie wydział krajowy i gmina na siebie, utrzymując dla jedenastu chłopców osobnego nauczyciela! Rodzice zaś czescy są zmuszeni posyłać swe dzieci do szkoły w odległej Mor. Huzowie, bo gmina nie chce dla 18. dziatek czeskich urządzić filii szkoły huzowskiej. Aby zaś jeszcze bardziej Czechom dokuczyć, zakładają Niemcy konkurencyjną karczmę (istniejąca jest w ręku czeskim), chociaż gmina liczy tylko 180. mieszkańców, a więc nie dosięga cyfry, jakiej ustawy wymagają dla jednej nawet karczmy. Wszelkie jednak rekursy do starostwa, wydziału krajowego i namiestnictwa pozostały bez skutku.

(w.) **Szkoły zawodowe w Czechach we świetle budżetu na rok 1912.** W Czechach znajduje się 10 szkół przemysłowych, z których pięć jest czeskich, a pięć niemieckich. Fundusz na czeskie wynosi 912 tys. kor. Na rzemieślnicze czeskie wyznaczono kwotę 800 tys., czyli razem na szkolnictwo zawodowe czeskie 1.712.000 kor. Na niemieckie zaś, z dodaniem funduszu na szkoły rzemieślnicze w kwocie 1.142,000 K, o wiele pokaźniejszą liczbę — 1,958.000 kor., czyli o 1/4 miliona kor. więcej. Rozpatrzywszy bliżej poszczególne szkoły zawodowe, widać wielkie braki u Czechów. Obok pięciu szkół niemieckich przemysłu drzewnego, istnieje zaledwie jedna czeska, obok dwóch szkół wyrobu szkła i tyluż wyrobów instrumentów muzycznych, Czesi nie posiadają a n i j e d n e j.

To w Czechach właściwych. Na Morawach rzecz przedstawia się znacznie gorzej. Na cztery przemysłowe szkoły czeskie przeznaczono tu 361.000 kor. Niemcy zaś posiadają tu 9 szkół zawodowych z budżetem 752.000 kor.

Gdy teraz weźmiemy pod uwagę całą ziemię czeską, otrzymamy, że na szkoły zawodowe czeskie przeznaczono 2.073.000 kor., na niemieckie zaś 3 017.000.

(w.) **Zamknięcie szkół czeskich w Wiedniu** wywołało duże wrzenie w siedzibie parlamentu austryackiego. W r. 1909 założono tam dwie szkoły, jednę w dzielnicy XX-ej, drugą w XII-ej. Niedługo jednak utrzymały się, po kilku dniach bowiem z urzędu je zamknięto, a na rekurs wniesiony przez ludność czeską w ciągu dwóch lat władze nie dawały żadnej odpowiedzi. Zorganizowano więc prywatne nauczanie i bojkotowano szkoły niemieckie. W roku bieżącym spróbowano otworzyć powtórnie szkoły, przypuszczano bowiem, że wobec zmian, jakie zaszły w parlamencie, uda się zaprowadzić szkolnictwo czeskie. A jednak i tym razem powtórzono zamykanie szkół, udaremniając zabiegi Czechów.

Największe jednak oburzenie wywarło zamknięcie uczelni w III-ej dzielnicy. Szkoła ta istniała od r. 1907, a obecnie przeniesiono ją do nowego gmachu, umyślnie na szkołę wybudowanego. Władze nie mogły drogą ściśle administracyjną zamknąć szkoły, albowiem założenie jej odbyło się na mocy urzędowego zezwolenia. Wyzyskano wobec tego pewną nieformalność, jakiej komisya szkolna dopuściła się wobec ustaw budowlanych. Czeska komisya nie miała innego wyjścia, musiała szukać bocznych dróg, aby wybudować własny gmach szkolny, wiedziała bowiem, że władze nie zatwierdzą planów na czeskie domy szkolne. Nazwano przeto gmach zwykłym domem mieszkalnym. Oto pretekst zamknięcia szkoły, której budowa rzekomo nie odpowiada wymaganiom szkolnictwa. Przewrotność władz jest tu tembardziej widoczna, że uprzednio gmach ten został uznany za odpowiedni przez miejską okręgową komisyę szkolną.

Nie spodziewano się jednak tak silnego oporu ze strony ludności czeskiej, jaki miał miejsce przy zamknięciu szkoły. Dziatwa z rodzicami nie chciały ustąpić; skupiono się koło gmachu szkolnego i domagano otwarcia.

Fakt ten zaiste jest bardzo charakterystyczny dla stosunków czesko-niemieckich. Należy się jednak spodziewać, że samo życie wykaże niemożliwość rozcinania kwestyi czesko-niemieckiej środkami bądźcobądź policyjnemi.

(w.) **Obchód 100-ej rocznicy urodzin K. J. Erbena** (zm. 1870) przypomina żywo owe ciężkie w dziejach odrodzenia czeskiego czasy, jakie zapanowały po rewolucyi marcowej. Reakcya na całej linii stłumiła życie narodu, przecięła pracę rozbudzenia się Czech, tak że lata po r. 1850 są jałowym ugorem w twórczości narodowej.

Śmierć K o l l á r a i Č e l a k o v s k i e g o (1852 r.), wygnanie H a v l i č k a, osieraca tembardziej niwę literatury i publicystyki. Młoda generacya, tworząca drużynę *Maja* i *Lumira* nie posiada jeszcze sił, aby rozwinąć pracę samodzielną.

W takich właśnie warunkach zjawia się w r. 1853 książka E r b e n a p. t. „K y t i c e“ — czyli wiązanka pieśni i poezyi ludowych i narodowych (powieść „B a b i č k a“ B. N ě m c o v é wyszła w r. 1855). Erben już przedtem oddawał się studyom twór-

czości ludowej i wydał „Pisně národni w Čechach“ (r. 1845), gdzie obok przytoczonych różnych poezyi, daje komentarze, uwagi i wyjaśnienia, a następnie pisze „Slovo o písní národní“, w którem ze szczególną uwagą rozpatruje balladę ludową. Badania nad twórczością narodową i ludową nie ogranicza Erben li tylko do pieśni i poezyi czeskich, lecz szuka wogóle w całej Słowiańszczyźnie głębszych dowodów i sprawdzianu oryginalności i odrębności twórczości słowiańskiej. Rezultaty owych studyów widzimy w kilku pracach, jak „Vybrané báje a pověsti národni jíných větvi slovanských“ i „Stoprostonárodních pohádek a pověstí slovanských v nařečích původních“.

„Kytice“ była płodem poważnych studyów nad twórczością ludową. Naśladując pieśń ludową, Erben nie szukał w niej wdzięcznej i barwnej formy i treści zewnętrznej, lecz umiał uchwycić psychologiczną stronę prymitywnej twórczości. Szczególnie udało mu się to w cyklu ballad, gdzie poeta przenosi nas w prastary świat słowiański, ku czasom zamierzchłej spontanicznej twórczości narodów w fantastycznem świecie zjawisk natury, w fatalistycznym, nadprzyrodzonym świecie bajecznym.

Zewnętrzna strona utworów Erbena cechuje dźwięczność i melodyjność wiersza, malowniczość epicka, a przedewszystkiem głęboka znajomość języków słowiańskich. Nic dziwnego że „Kytice“ stała się na długie czasy wzorem zoezyi i że śladami Erbena szedł Neruda, dalej Hálek we swych poezyach i pieśniach, a wreszcie czerpie z niego wiele i Vrchlicky.

„Kytice“ Erbena doczekała się wielokrotnych wydań, a po dziś dzień jest jeszcze z zamiłowaniem czytywana i źródłem dla poznania charakteru twórczości ludowej. Bogactwo tematów, obrazów, podań, wreszcie piękne motywy dają materyał dla muzyków (Dvořak, Fibich) i sztuk plastycznych.

Erben nietylko jako poeta, lecz i jako badacz historyi pozostawił kilka dzieł, jak „Kroniky pražské“, „Spisy Husovy“ i wiele innych, napisanych na podstawie źródeł z archiwów praskich.

W literaturze czeskiej jest on jednak przedewszystkiem twórcą poezyi narodowej ludowej, autorem „Kytice“.

Teatry amatorskie w Czechach. Teatr jest z natury rzeczy sztuką mieszczańską; toteż i kwitnie najbardziej wśród tego z narodów słowiańskich, który jest najbardziej mieszczańskim — wśród Czechów. Nie brak tam dobrych drużyn wędrownych, zaglądających kolejno do każdego miasteczka — ale obok tego jest mnóstwo teatrów amatorskich, czynnych stale przez kilka miesięcy w roku. O rozwoju scen amatorskich można mieć pojęcie z tego, że w ciągu jednego roku zdarza się po stokilkadziesiąt przedstawień amatorskich pewnego utworu w różnych stronach kraju, a popularni autorowie miewają po przeszło 500 wieczorów rocznie na swoje utwory — na „głuchej“ prowincyi! Ścisłą ewidencyę teatrów amatorskich prowadzi stowarzyszenie autorów dramatycznych „Maj“; przegląda się tam skrupulatnie prasę prowincyonalną i zapisuje się każde przedstawienie, gdyż w Czechach od przedstawień amatorskich płaci się honoraryа autorskie — które „Maj“ ściąga bez ceremonii. Statystyka „Maja“ jest więc godną zaufania, bo prowadzona jest ściśle po kupiecku. A statystyka ta, ogłoszona właśnie niedawno za rok 1910., opowiada nam rzeczy nielada o ruchu czeskich teatrów amatorskich. Jedenastu autorów pobrało honoraryum za przeszło 100 wieczorów; cyfra najwyższa jest: 580 przedstawień utworów F. Šamberka, którego utwory pisywane są specyalnie dla teatrów amatorskich. Co do przedstawień jednego i tego samego utworu, liczyło 8 utworów po 50—100. przedstawień, a trzy utwory wyżej setki; cyfra najwyższa 147. Scen amatorskich jest przeszło 300.

Berno a Ołomuniec. Chociaż Morawy są krajem w trzy czwarte czeskim, mimo to większe miasta mają jeszcze zawsze cechę niemiecką. Stolica kraju, Berno, mimo usilnej pracy, pozostaje pod hegemonią niemiecką; również drugi z rzędu co do wielkości Ołomuniec. Czesi ber-

neńscy pragnęli zliczyć swe siły podczas wyborów do rady miejskiej; tuszyli nawet, że w kuryi IV., kuryi najniżej opodatkowanych, zwyciężą i postawili swoich kandydatów. Przerachowali się jednakże, bo wybory zakończyły się walną klęską Czechów; kandydaci ich nie mieli nawet połowy ilości głosów, jaką otrzymali kandydaci niemieccy. Popełniono więc w Bernie zasadniczy błąd taktyczny, którego dotąd ustrzegł się Ołomuniec. Zamiast cierpliwie czekać, aż owoce pracy uświadamiającej robotnika (kurya IV., to głównie robotnicy) dojrzeją, pospieszono się niepotrzebnie; a klęska tak wielka, to woda na młyn niemiecki, to demoralizacya obozu czeskiego!

Pocieszają się jednak Czesi, że jeśli nie dziś, to w przyszłości Berno odzyskać muszą. Pouczającem jest tutaj porównanie ilości oddanych głosów z lat poprzednich. W r. 1908 było głosów niemieckich o 1131 więcej, niż w r. 1905. Odtąd głosów niemieckich ubywa; obecnie było ich o 38 mniej w kuryi IV., a w kuryi III. o 10 mniej, niż w r. 1908. Ztąd wniosek, że niemieckość Berna doszła do punktu kulminacyjnego, że odtąd można pracować z otuchą w zwycięstwo. Warunek atoli, aby nie od razu wystąpić na zewnątrz, lecz po cichu pracować na wewnątrz, a nie narażać się niepotrzebnie na klęski, odejmujące ludowi miejskiemu otuchę.

Gdzie Žižka pochowany? Muzeum historyczne miejskie w Hradci Kralové urządziło 12. listopada odczyt prof. Dra J. V. Šimáka, który zbadawszy i zestawiwszy krytycznie wiadomości historyograficzne, zwłaszcza wydawnictwa „Starých letopisů českých“, co do śmierci i pogrzebu Žižki, doszedł do następujących wyników:

Od XVI. w. da się śledzić tradycya, że Žižka pochowany był w Hradci Králové i że stąd przeniesiono ciało jego później do Czasławia. W Czasławiu wystawiono mu nagrobek dopiero w pierwszej połowie XVI. w., a więc wtenczas wierzono już, że Žižka w tem mieście jest pochowany. Pierwsza wiadomość o tem, że pochowany był w Hradci Králové w kościele św. Ducha obok wielkiego ołtarza, pochodzi z połowy XV. w. Przeniesienie zwłok do Czasławia mogłoby było nastąpić tylko za panowania Władysława II. Jagiellończyka (1471—1516), ale kroniki współczesne milczą o tem; natomiast spotyka się twierdzenie, że pochowany był zaraz po śmierci w Czasławiu, a Czasławianie oszukali mieszczan z Hradca Królowej, posławszy im zamiast ciała Žižki w trumnie zamkniętej trupa jakiegoś Niemca. Jedna tylko wiadomość, pochodzącą z czasu około roku 1515., zawiera wzmiankę, że ciało Žižki przewieziono z Hradca Králové do Czasławia i tam w kościele na nowo pochowano. Powstanie tradycyi czasławskiej da się wyjaśnić przez to, że we farze czasławskiej był ołtarz z fundacyą mszalną, a z obrazami Husa i Žižki; obok tego ołtarza ustawiono w XVI. w. pomnik Žižki. Nad grobem jego w Hradcu Królowej była zapewne tylko płyta, która schodzona od stóp kilku pokoleń zatraciła z czasem napis i tak też popadło w zapomnienie miejsce grobu, zwłaszcza, gdy w książkach pojawiało się twierdzenie o przeniesieniu ciała do Czasławia, jako o fakcie historycznym.

Ostatecznie tedy nic pewnego o grobie Žižki powiedzieć się nie da; tem bardziej wątpliwą być musi autentyczność kości, niedawno „odkrytych“, a za resztki ciała Žižki podawanych.

Drożyzna mieszkań spowodowała w Czechach powstanie całego szeregu organizacyj, opartych na samopomocy; istnieje ich dzisiaj w Czechach wcale pokaźna liczba, rozrzucona po miastach i miasteczkach, bo 164. Niedawno odbyły one pierwszy wspólny zjazd w Pradze. Z tych towarzystw rozpoczęło już 93 czynną działalność; mianowicie 13 towarzystw stawiało domy czynszowe, a 80 domy przeznaczone dla jednej rodziny. Wszystkie te stowarzyszenia razem posiadają 6.900 członków, a udziały ich wynoszą około 1,100.000 koron. Domy czynszowe, wystawione przez owych 13 towarzystw mają 220 mieszkań, a domów, przeznaczonych dla jednej tylko rodziny wystawiono 741, a to bez gwarancyi państwowego funduszu mieszkaniowego; ten bowiem pozostaje dotąd wyłącznie do dyspozycyi. Nakład na wszystkie budynki wyniósł 1,000.000

koron, jak na pierwszy rok, suma bardzo pokaźna Pisma czeskie wyrażają ze swej strony życzenie, aby i miasta przyczyniły się do budowy tanich domów.

(w.) **Kolonie czeskie w Chorwacyi** dopiero od niedawna posiadają swe ogniska i organizacye narodowe. S. Radič, mówiąc o czeskiej ekspansyi na południu słowiańskiem, konstatuje, że i Chorwacya asymiluje obcych przybyszów, bo nie mówiąc już o Czechach, widzieć da się tu liczne wypadki zasymilowania się Madiarów, a nawet Niemców.

Przybysze czescy pochodzą jak teraz, tak i dawniej, przeważnie z klas uboższych z rdzennych Czech i Moraw, pod względem jednak kwalifikacyi zawodowych stoją daleko wyżej od ludności serbo-chorwackiej. Analfabetyzmu między przybyszami nie było. Rozrzuceni małemi grupami po Chorwacyi i Bośni, asymilowali się zesi bardzo szybko, tak że w drugiem pokoleniu tracili swą dawną odrębność wśród ludności miejscowej. Obecnie w wielu wioskach spotkać można ślady czeskiego wychodźctwa w postaci zbiorków książek. jakie rodziny przechowały po swych ojcach.

Od dziesięciu lat kwestya wychodźctwa czeskiego ma zgoła inny charakter. Obecne kolonie czeskie posiadają wszędzie swe organizacye, utrzymują ustawiczny kontakt z krajem, tak że o asymilacyi nie może być już prawie mowy, chyba w głuchych zakątkach Chorwacyi możnaby spotkać asymilującego się Czecha.

Słowacka kronika.

(ek) **Pańszczyzna** istnieje jeszcze na Słowaczyźnie pod osłoną liberalnego prawa węgierskiego. Wprawdzie ustawowo zniósł ją rząd w 1848. r., ale nie wszyscy właściciele zwolnili lud od robocizn. Do niedawna istniała w kilku wsiach trenczyńskich, a dzisiaj jeszcze utrzymała się w Kukowej, przechrzczonej z madiarska Kükemező, leżącej w komitacie szaryskim, powiecie toplańskim, niedaleko Preszowa. Właściciele jej przez długie lata zwlekali z uregulowaniem stosunków, a później, kiedy akta gminne spłonęły w czasie wielkiego pożaru Preszowa, wystąpili z pretensyami, że domy chłopskie stoją na gruncie pańskim. Nadal więc chłopi musieli odrabiać pańszczyznę „za paszę“, każda rodzina (mąż i żona) 142 dni rocznie. Oprócz tych dni przymusowych obowiązany jest każdy iść na wezwanie do roboty, a wtedy już otrzymują wynagrodzenie: mężczyźni 60, kobiety 50, parobcy 40, a dziewczęta 30 halerzy dziennie. Jeśliby zaś kto nie przyszedł, to płaci karę: mężczyzna 2 kor., kobieta 1 kor. do kasy pańskiej — i to dobrowolnie, bo w przeciwnym razie ściąga właściciel sądownie. Za pokrzywdzonym ludem nikt nie zechciał się ująć, by nie narazić się właścicielowi, będącemu wpływową osobistością, głównym notarem komitatu szaryskiego. Wreszcie dopiero sami chłopi, wyczerpawszy wszelkie możliwe środki obrony wysłali delegacyę do cesarza i otrzymali przyrzeczenie, że sprawa ich zostanie oddaną pod sprawiedliwy sąd.

Bibliografia słowacka. Po 40-letniej żmudnej nieustannej pracy dokończył L. V. Rizner, b. nauczyciel ewangelickiej szkoły wyznaniowej w Zemanskim Podhradiu, dzieła całego swego życia — a jest niem: Slovenska Bibliografia. Rizner zrejestrował całą literaturę słowacką, tudzież wszelkie prace innojęzyczne, tyczące się Słowaczyzny.

Bibliografia sięga od najstarszych czasów aż po rok 1906. Pierwotnie zbierał notaty tylko po rok 1900, lecz na prośby przyjaciół uzupełnił swe materyały jeszcze bibliografią lat 1900—1906. Rękopis, wyprawiony już do czeskiej Akademii, obejmuje około 20.000 tytułów i obejmie 4—5. tomów dużej 8-ki. Rizner otrzymywał podczas pracy zasiłki z funduszów tejże Akademii i od literackiego stowarzyszenia „Svatobor“ w Pradze.

(ek) **Józef Uprka**, najzdolniejszy słowacki malarz, obchodził niedawno pięćdziesięciolecie swego życia.

Urodził się 26. października 1861 r. w Kněždube na morawskiej Słowaczyźnie, w małej wiosce powiatu strażnickiego, sąsiadującego z granicą węgierską. Ojciec jego był wiejskim malarzem a lud w rodzinnej wiosce cechuje zamiłowanie w barwności i malowniczości tak dalece, że tam prawie każdy maluje albo farba-

mi obrazy, albo jedwabiem wyszywki. W takiem to środowisku spędził młodość i rychło objawił zdolności malarskie. Oddano go do gimnazyum w Strażnicy; rodzice chcieli go wykierować na nauczyciela, ale mały Joža nie miał ochoty do nauki. Przeniósł się wkrótce do gimnazyum w Ołomuńcu, lecz i tu szczęście mu nie sprzyjało i z szóstej klasy wystąpił. Nie mogąc oprzeć się malarskiej żyłce, poszedł bez grosza do Pragi, gdzie wstąpił do Akademii sztuk pięknych. Uczyli go tutaj prof. Čermák i Lhota. Jego natura wrażliwa, namiętna, z temperamentem ognistym, nie znalazła duchowego zaspokojenia; toteż po upływie 3-ch lat znalazł się nagle w Mnichowie, gdzie zaczęły przebijać w sztuce prądy impressyonizmu i kształcił się przez trzy lata pod kierunkiem prof. Gysisa i Saitza. Postanowił jednakże wyzwolić się z pod wpływów szkolnych i iść swoją drogą, aż po długiej pracy zdobył sobie ogólne uznanie. Dziś imię jego znane jest nietylko w ziemi ojczystej, a talent w pełni sił. Zyskał nagrody w paryskim Salonie; praska Akademia odznaczyła go złotym medalem, a niedawno cesarz orderem. Prace jego wzbudziły tego roku wielkie zainteresowanie i w Londynie.

Mieszka Uprka na wsi, w Hroznovej Lhocie pod Strażnicą na Morawach. Żyje i pracuje jak chłop, a w wolnych chwilach maluje. Jest artystą na wskroś słowackim i ludowym, gdyż zna doskonale kraj swój, lud i jego życie, dolę i niedolę. Chwyta na płótno wszystkie momenty z życia ludu wiejskiego. Maluje wieśniaka, jak idzie do pracy, jak sieje, jak orze, żnie; przedstawia kobiety, jak zdobią domy malowankami, jak popędzają woły przy orce, jak wyszywają, grabią, piorą, stroją się lub modlą. Jest mistrzem od zbiorowych scen z żywota ludu, jak pielgrzymki, procesye, pogrzeby, zaduszki, Boże Ciało; chętnie też maluje konie, krowy itp. Wiernie odtwarza nietylko zewnętrzną malowniczą powierzchnię Słowaczyzny, ale i jej duszę i datego obrazy jego są pięknym odbłyskiem duchowego życia ludu słowackiego. Świadczy to, że artysta wczuł się i zżył ze swem środowiskiem, które jest dla niego niewyczerpanem źródłem nowych motywów.

Wiernie też odtwarza fizyognomię ziemi słowackiej w najrozmaitszych krajobrazach, od mglistych ranków poczynając, a kończąc na typowych chałupach z barwnymi ornamentami prymitywnego ludowego zdobnictwa.

Wszystkie jego płótna tryskające życiem i werwą w barwnym kolorycie, przypominają naszą szkołę ludową z Tetmajerem na czele.

Banki słowackie zagrożone. Związek węgierskich instytucyj finansowych podał wniosek, aby zwołać na naradę reprezentantów wszystkich zakładów pieniężnych, znajdujących się na terytoryum Korony św. Szczepana, celem powzięcia decyzyi, czy nie należy domagać się ustawowego ograniczenia ilości instytucyj finansowych, z powodu nadmiernego ich powstawania. Słowacy dopatrują się w tem nowego ataku na siebie; solą w oku Madiarom, że w ostatnich latach słowacka organizacya ekonomiczna, zwłaszcza na polu finansowem, raźno postępuje naprzód. Nie mogąc temu zapobiedz, a bojąc się, by Słowacy z pod zależności madiarskiej na polu gospodarczem nie wyemancypowali się, zachciewa się Madiarom ustawy, która interpretowana i zastosowywana oczywiście tendencyjnie, mogłaby odjąć słowackim organizacyom finansowym wszelką możność rozwoju.

Z równouprawnienia na Węgrzech. Najnowszy budżet węgierskiego ministerstwa oświaty wynosi 91,285.193 koron, z czego 6.000 kor. na druk narodowych książek szkolnych, przez co rozumie ministerstwo książki rumuńskie, serbskie, słowackie i niemieckie. Madiarzy otrzymują więc na swoje cele kulturalne 91,229.133 kor., a 8 milionów ludności, należącej do innych narodowości aż 6.000 kor.! Na Słowaków wypadnie z tego co najwyżej 2.000—3.000 kor. Nie można się więc dziwić, gdy słowackie *Slovenské Ľudové Noviny* piszą:

„Posyłajcie jak najwięcej dzieci do szkół do Czech i na Morawy. Możemy w ten sposób uchronić je od politycznych Herodów, a gdy wrócą do domu, będą mogły starać się usilniej o podniesienie naszego

narodu. A gdy będzie tysiące dzieci słowackich w czeskich przemysłowych, handlowych i średnich szkołach, inaczej będzie śpiewał nasz minister oświaty, a my mu w tym śpiewie będziemy pomagali".

Ewangelicki Kościół słowacki jest najliczniejszym odłamem protestantyzmu w Słowiańszczyźnie. Powszechnem jest mniemanie, że akatolicyzm na Słowaczyźnie wywodzi się od husytyzmu, który przetrwał tam — jakkolwiek w formie zmienionej — czasy upadku jego w samych Czechach, a następnie spłynął z protestantyzmem. Wolność sumienia wywalczono na Węgrzech za Rudolfa II. w r. 1606.; w dwa lata potem stwierdzono ją formalnym aktem ustawodawstwa krajowego, przyznając ją zarazem i ludowi wiejskiemu. Po bitwie na Białej Górze nastała i tu reakcya. Nie pytając o ustawy, zabierano protestantom kościoły, a „cesarze i królowie" Ferdynand II. i Ferdynand III. dali się protestantom dobrze we znaki, aż w końcu uciśnieni wezwali Rakoczego. Pokojem w Lincu zazawartym, zobowiązał się cesarz przywrócić wolność sumienia. Jakoż sejm węgierski 1647. r. skodyfikował starannie tę sprawę, a z zabranych protestantom blizko 400 zborów, miano im 90 przywrócić.

W tych czasach — w r. 1635. — powstał kancyonał Tranowskiego, który stał się silną spójnią ewangelików słowackich, a znajduje się dotychczas jeszcze w użyciu.

W latach 1671—1681. po stłumieniu powstania węgierskiego nastała za Leopolda I. taka reakcya, że na całych Węgrzech (o ile nie były pod panowaniem tureckiem) zostały zbory protestanckie tylko w zapomnianym górskim komitacie Honcie i jeden w mieście Szoproniu. Podczas powstania Tökölllego pozwolił sejm, zwołany do Szopronia, na dwa zbory w każdym komitacie i ustanowiono miejsca, w których miały być wystawione. Zwano je „artykularnemi" kościołami. Po upadku Tökölllego powróciła reakcya i trwała aż do czasów Franciszka Rakoczego, poczem pokój šatmarski 1711. roku przywrócił wolność sumienia. Trwała ona niedługo. W r. 1715. nie zezwolił Karol VI. na zwołanie synodu ewangelickiego, a „rezolucyą" r. 1731. zakazał pastorom przebywać poza miejscami „artykularnemi".

W r. 1734. nastąpiła organizacya Kościoła ewangelickiego na Węgrzech na cztery dystrykty: przeddunajski, bański, nadcisański i zadunajski, z czteroma superintendentami i czteroma świeckimi inspektorami ze stanu szlacheckiego; pod superintendentami ustanowiono seniorów, którym przydano do pomocy inspektorów senioralnych; każdy zaś pastor miał przy sobie inspektora lokalnego. Organizacya ta przetrwała na Węgrzech do naszych czasów.

Józefiński patent tolerancyjny uwolnił protestantów na zawsze od walk o wolność sumienia. Nastały za to dla Słowaków inne kłopoty; trzeba było rozpocząć walkę przeciw własnym współwyznawcom. Najpierw wypadło bronić się przeciw t. zw. unii, tj. połączeniu na całych Węgrzech Kościoła augsburskiego z helweckim, bo w takim razie luteranie słowaccy, liczący zaledwie pół milona, znaleźliby się w znikomej mniejszości wobec madiarskich kalwinów, których jest przeszło dwa miliony. Ten też wzgląd skłania słowackich pastorów do jak najsilniejszego akcentowania różnic wyznaniowych konfesyi augsburskiej a helweckiej i do zachowywania rozmaitych szczegółów nabożeństwa, chociaż są niewątpliwie pochodzenia katolickiego.

W r. 1892. przeprowadzono podział dystryktu przeddunajskiego w ten sposób, że odtąd Słowacy nie mają większości w żadnym dystrykcie. (O rozmaitych madiaryzacyjnych zapędach zwierzchności protestanckiej donosiliśmy nieraz w *Świecie Słowiańskim*).

St. Klima, *Naše Doba.*

Słowieńska kronika.

Wzrost żywiołu słowiańskiego w Istryi. Ogłoszono rezultaty spisu ludności w Istryi pod względem „języka towarzyskiego" (jak brzmi ta rubryka arkuszy spisowych w Austryi, ażeby omijając wyrażenie „narodowość" ułatwić urzędom „poprawianie natury" na korzyść Niemców). — W ciągu dziesięciolecia od poprzedniego spisu ludności przy-

było Włochów 11.238, a Słowian 33.558, a mianowicie Słowieńców 9.859, Chorwatów zaś 23.699. W roku 1900. stanowili Słowieńcy 14·20% ludności, Chorwaci 42·58%, Włosi 40·54% — w r. zaś 1910. stosunek ten procentowy tak się przedstawiał: Słowieńcy 14·80%, Chorwaci 43·15%, a Włosi już tylko 38·16%. Jest więc Włochów w Istryi nie wiele więcej ponad trzecią część ludności.

Rewizya spisu ludności w Gorycy. Donosiliśmy o fałszerstwach, jakich dopuszczał się przy spisie ludności magistrat tryesteński, żeby wykazać jak największą ilość Włochów — i o tem, że nawet patrzący bardzo pobłażliwie na wyrządzanie szkód Słowianom rząd austryacki nie mógł nie zarządzić tam rewizyi spisu — gdyż fałszerstwa były nazbyt zuchwałe. Ale to nietylko w Tryeście! Coś podobnego zdarzyło się także w drugiem mieście „włoskiem" na ziemiach słowieńskich, w Gorycy. I tam zaszła potrzeba zarządzenia rewizyi, którą przeprowadza starostwo powiatowe. Około 3.000 osób otrzymało już wezwanie do starostwa. Wzywa się tych, których zapiski na arkuszu konskrypcyjnym wydają się podejrzanemi, a nadto ma każdy prawo sam przekonać się, czy arkusz znajduje się w tym stanie, jak go sam wypełnił. Pokazują się sprawki wprost już humorystyczne. N. p. zapisany jest za Włocha jeden z członków słowieńskiej sekcyi konskrypcyjnej — a nawet prezes słowieńskiego „Orla" (katolickie towarzystwo gimnastyczne, bo „Sokoły" mają tam cechę antykatolicką). Już teraz przewidywać można, że po rewizyi okaże się w mieście Gorycy przynajmniej 10.000 Słowieńców.

„Koczewie". Stosunki narodowo-polityczne w krajach alpejskich są bardzo pouczające. Istnieje tam ustawa na obronę „mniejszości", której trzymają się oburącz Niemcy z Lublany, Gorycyi i Tryestu, oczywiście, o ile może być wyzyskana na korzyść Niemców przeciw Słowianom. Inaczej ma się rzecz, gdy chodzi o obronę mniejszości słowieńskiej przeciw niemieckiej większości. Tak powraca na porządek dzienny raz wraz sprawa t. zw. Koczewia (Gottschee). Jestto wyspa etnograficzna niemiecka, obejmująca kilka mil kwadratowych, ogromnie ciekawa dla etnografów i lingwistów. Narzecza ich niemieckiego nie można zrozumieć, nie znając języka słowieńskiego! Słowieńszczyli się oni szybko, tem bardziej, że i ziemię chętnie Słowieńcom sprzedawali. Rolnictwem nie lubi bowiem trudnić się „Gottscheber" (wymawiają „Koczeber"); pieczę nad gospodarstwem pozostawiają kobietom, a sami idą w świat, jako wędrowni handlarze norymberszczyzny, scyzoryków, nożyc, szelek, cygarniczek, zwierdziadełek, spinek i t. p., zwabiając klientelę po szynkach do gry na „para nie para". Niegdyś „Koczeber" znany był nawet w Krakowie. — Od jakich 10. lat zajęli się Niemcy tą wyspą. Pobudowali szkoły, pozakładali instytucye finansowe. Otoczyli ich taką opieką, że „Koczeber" opływa we wszystko za darmo i wyzyskuje ten „patryotyzm" z niesłychanym sprytem. Chodzi teraz ze swoimi koszykami norymberszczyzny tylko pomiędzy Niemców, gdzie sprzedaje wszystko z zyskiem poczwórnym. Najlepsze interesy robi w Pradze. Niemcy tamtejsi witają entuzyastycznie „Koczebra", gdy się zjawi w restauracyi i uważają sobie za obowiązek odkupić mu wszystko po każdej cenie. „Koczeber", który dopiero niedawno dowiedział się, że jest Niemcem, robi na tem kapitalne interesy.

A ziemię swoją sprzedaje dalej Słowieńcom i tak utworzyła się już na Koczewiu mniejszość słowieńska. W stolicy Koczewia, mieście Gottschee nie chcą jednak oficyalnie uznać obecności Słowian. Kiedy zeszłej jesieni chciano sporządzić prywatny spis ludności słowieńskiej, zarząd gminny przeszkodził temu policyjnie, a wszystkie skrypta skonfiskował. O ile przy tych trudnościach dało się coś zrobić, doliczono się jednak w miasteczku 448. Słowieńców; tylu ich poświadczyło własnoręcznie na piśmie, że są Słowieńcami. A spisy ludności urzędowe? W roku 1900 naliczono Słowieńców urzędowo 255, a w roku 1910 — ani jednego! Faktycznie jest tam atoli Słowieńców przynajmniej 1000 — a dzieci szkolnych z pewnością najmniej 150. Słusznie więc *Slovenski Narod* wzywa polityków słowieńskich, żeby się zabrać tu do

wyzyskania ustawy o mniejszościach chociaż raz na korzyść słowieńską i zażądać w Koczewiu słowieńskiej szkoły ludowej.

Chorwacka kronika.

(w.) **Klub „cirilo-metodskich Zidara“,** aby rozszerzyć teren swej działalności oświatowej, ma zamiar przeobrazić się w ogólne chorwackie stowarzyszenie oświatowe, wychodzi bowiem z założenia, że nie należy ograniczać swych wpływów i pracy jedynie w Istryi, lecz objąć organizacyą całą ziemię chorwacką, gdzie szkolnictwo coraz bardziej zaczyna podlegać wpływom obcym.

Klub uchwalił przedewszystkiem zmienić swą dawną nazwę i za przykładem czeskim utworzyć organizacyę p. n. „Hrvatska školska Matica“. Dr. Oto Kučera w liście otwartym wykazuje niepraktyczność owej nazwy na terenie Chorwacyi, gdzie już oddawna istnieje t. zw. „Matice Hrvatska“ — stowarzyszenie popierające piśmiennictwo chorwackie. To samo również jest w Lublanie, gdzie „Matice Slovenska“ jest instytucyą wydawniczą. Dla uniknięcia nieporozumień na przyszłość i oryentacyi, co do charakteru obu stowarzyszeń, proponuje klubowi zmienić swą nazwę na „Hrvatsko školsko družtwo“, a wówczas nie może być mowy o identyfikowaniu tych instytucyj.

Ludność Rjeki. Według ostatniego spisu ludności ma Rjeka ogółem 49.569 mieszkańców, w czem 23.283 Włochów, 3.619 Madiarów, 2.476 Niemców, 205 Francuzów, Anglików i innych narodowości, a Słowian 19.989. Z tego zestawienia wynika, że Włosi w Rjece są w mniejszości. Mimo to są jednak absolutnymi panami w radzie miejskiej. Słowianie, którzy tworzą prawie połowę obywatelstwa w Rjece, nie mają w radzie miejskiej ani jednego reprezentanta. Że Słowianie, a raczej Chorwaci, bo tylko ci mogą wchodzić tu w rachubę, nie mają żadnych szkół, to się rozumie samo przez się, skoro gospodarzami w gminie są Włosi, a ich zwierzchnikami Madiarzy.

Wiarołomstwo istryjskich Włochów. Kiedy zeszłego roku przyszło do ugody pomiędzy chorwackimi i włoskimi posłami z Istryi, było jednym z warunków ugody, że rząd weźmie na siebie włoską szkołę realną w Poli, a za to kraj i gmina wezmą na swój koszt tamtejszą prywatną szkołę chorwacką, utrzymywaną przez Macierz szkolną im. św. Cyryla i Metodego. Rząd obietnicy dotrzymał, tymczasem Włosi wzbraniają się przejąć szkołę chorwacką, chociaż umowę podpisali prezydent kraju Rizzi, burmistrz miasta Poli dr Varetan i dwóch radnych. *Piccolo* usprawiedliwia niedotrzymanie słowa tem, że wydział krajowy do niczego się nie zobowiązał. A więc widocznie podpis prezydenta kraju nic nie znaczy!

Program slawoński z roku 1860. Po wyjściu „dyplomu październikowego“ (20. X. 1860), obywatele Osieka zwołali zjazd z całej Slawonii z początkiem listopada 1860. i uchwalili oświadczenie, ułożone przez pierwszego podżupana żupy wirowitiezkiej, Dr. Antoniego Stojanovića. Akt ten, rozesłany do wszystkich ówczesnych „municipiów“ i wszędzie podpisywany, stał się programem, którego miał się trzymać przyszły sejm. Znaleziono obecnie jeden egzemplarz w archiwum cechu młynarskiego w Osieku na Dolnem Mieście, z podpisami 57. majstrów cechowych, których pozyskał dla swego programu sam autor oświadczenia, jako rodzony „dolnogradjanin“ osiecki i „senator grodski“ Ilija Penjić. Uzyskano też podpisy cechów szewskiego, rymarskiego i rybackiego.

Tekst aktu następujący:

„Ze względu na najwyższe postanowienie z 20. października rb. jest obowiązkiem każdego ziomka zdać sobie jasno sprawę ze stosunku królestw Chorwacyi i Slawonii do Węgier i stanąć za sprawę zabezpieczenia swobód konstytucyjnych, tudzież rozwoju własnej narodowości.

„W sprawie tej składało już wielu oświadczenia i można uważać za pewne, że znaczna większość ludności Slawonii pragnie utrzymać i nadal ośmiowiekowy związek z Węgrami i żyć nadal pod tą samą świętą koroną z konstytucyjną naszą bracią, Madiarami.

„Najpewniejszą podstawą, na jakiej dałoby się odnowić starodawny związek, stanowi niewątpliwie prawo historyczne, od którego gdybyśmy się oddalili, nie mielibyśmy żadnej pewnej poręki konstytucyonalizmu; mamy zaś równocześnie obowiązek dbać także o rozwój naszej narodowości i ubezpieczyć go teraz na całą przyszłość.

„Wśród tych okoliczności możnaby określić warunki, pod jakiemi należałoby odnowić związek z Węgrami, w sposób następujący:

1. Wspólne ustawodawstwo na wspólnym sejmie węgierskim, w którym mieliby jednaki udział przedstawiciele królestw Chorwacyi i Slawonii, wybrani na podstawie bezpośredniej reprezentacyi ludu, z przedstawicielami węgierskimi.

2. Utrzymanie istniejących granic, żup i całości Slawonii.

3. Zupełne zabezpieczenie narodowości i języka narodowego w Chorwacyi i Slawonii przy wszelkich czynnościach publicznych i w szkołach, za pomocą zasadniczej ustawy wspólnego sejmu, tak, że sprawy narodowe i języka urzędowego tych królestw nie mogą być nigdy przedmiotem obrad na wspólnym sejmie bez ich zezwolenia.

4. Ustanowienie osobnych komisyj dla tych królestw przy wszystkich wyższych i najwyższych dykasteryach i obsadzenie tych komisyi przez rodaków („kroz domače sinove"); następnie utrzymanie „Banskog stola", jako apelacyjnego sądu w Zagrzebiu, a jako najwyższego sądu Septemviratu w Peszcie z kilkoma uczestnikami z Chorwacyi i Slawonii.

5. Utrzymanie godności bana i congregationis regnicolaris z zakresem działania, jaki był do r. 1848.; kongregacyi regnikolarnej przypadłoby wyłączne prawo decyzyi w sprawach narodowości i języka urzędowego, urządzenia i organizowania instytucyi prawno - publicznych, tyczących się tych królestw.

Dan miesiąca listopada 1860. roku, (podpisy:) Karl Laubmann, Simo Blagowich, Anton Markowich, Johan Ruschka, Johan Konopka, Jakob Tremel, Wilchelm Behm, Robert Leuthmann, Schwarz (i dwa nieczytelne). A. K., *Obzor* Nr. 324.

Echa trypolitańskie w Bośni. Muzułmanie bośniaccy, to dawna szlachta chorwacka; lecz ciążą oni stale ku swoim współwyznawcom, ku Turcyi, uważają bowiem sułtana za najwyższego swego zwierzchnika kościelnego.

To też zainteresowanie się wojną trypolitańską wśród nich ogromne, a nawet składają znaczne datki pieniężne na wojnę z „niewiernymi", z Włochami. W samem Sarajewie zebrali przez dni kilka 24.000 koron i to tylko wśród zwolenników stronnictwa zwącego się „samostalcami", a trzeba zauważyć, że stronnictwo to jest jednem z mniej licznych. „Zjednoczona organizacya narodowa muzułmańska" rozwinęła po całym kraju żywą agitacyę i zdołała juz zebrać 100.000 koron! Po meczetach prócz zwykłych pięciu codziennych modlitw, odbywa się codziennie dodatkowa modlitwa za zwycięstwo tureckiego oręża nad Włochami! Wynika więc z tego, że muzułmanie bośniaccy uważają się w duchu za obywateli państwa otomańskiego, choć losem są stale związani z Austro-Węgrami.

Serbska kronika.

(mg). **Marszałek sejmu bośnieńskiego,** prawosławny Serb, Vojislav Šola, pochodzi z Mostaru. Szkołę handlową ukończył w Lublanie i tam się nauczył języków: włoskiego i niemieckiego. Podczas okupacyi był jako powstaniec uwięziony. Odbywszy karę, wrócił do Mostaru i rychło przez swe zdolności został wodzem duchowym Serbów hercegowińskich, a wnet i bośnieńskich. Jego zasługą było pomyślne zakończenie walki Serbów prawosławnych o autonomię kościelną w tych ziemiach. Przez cały czas walki Šola bojował w granicach ustawy i rząd nie mógł przeciw niemu mimo chęci szczerych wystąpić. W pierwszym wyborze został posłem i zastępcą marszałka, a teraz po śmierci Ali bega Firdusa marszałkiem.

Druk ukończono 13. grudnia 1911. roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Krakowska Drukarnia Nakładowa, Spółka z ogr. odp. w Krakowie.
(dawniej W. Korneckiego) pod zarządem Adolfa Nowaka.

„MUSEION“

miesięcznik poświęcony literaturze i sztuce,

wychodzi w Krakowie pod redakcyą Ludwika Hieronima Morstina. Wydawcy: Władysław Kościelski i L. H. Morstin.

Pomieszcza utwory prozą i wierszem, oryginalne i tłómaczone z zakresu piśmiennictwa polskiego i literatur obcych, malarstwa, rzeźby, muzyki i architektury przy współpracownictwie najwybitniejszych autorów polskich i obcych. Ze względu na wiekowe powinowactwo polskiej umysłowości z cywilizacyą Rzymu i tych literatur, które z rzymskiej wyrosły, pismo zamieszcza w przekładach i transkrypcyach świetne wzory romańskiej kultury, objawionej w pieśni, prozie i filozofii.

Prenumerata „Museionu“

wynosi rocznie w Galicyi kor. 30, w Wiel. Księstwie Poznańskiem marek 25, w Król. Polskiem i w Warszawie rubli 12, z przesyłką poczt. rubli 13. — Półrocznie koron 15, marek 12·50, rubli 6, z przesyłką pocztową rubli 6·50.

Prenumeratę przyjmuje Administracya: Kraków, ul. Karmelicka l. 13. Na Królestwo Polskie i Cesarstwo Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Adres Redakcyi: Kraków, ul. Karmelicka 13.